Nr. 44 Rok 5 Kraków, dnia 29 października 1944. 40 gr.

Ilustrowany ...ER POLSKI

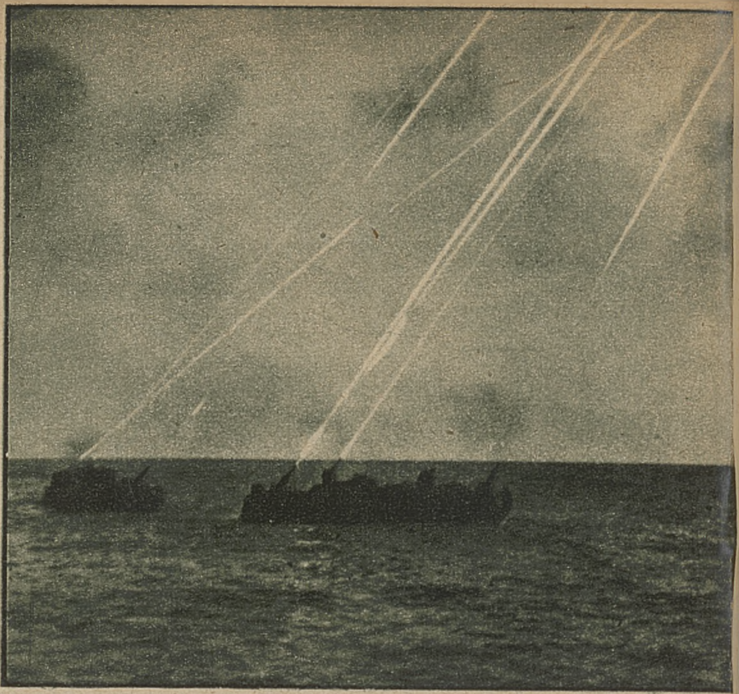


Chryzantemy

Fot. Borek

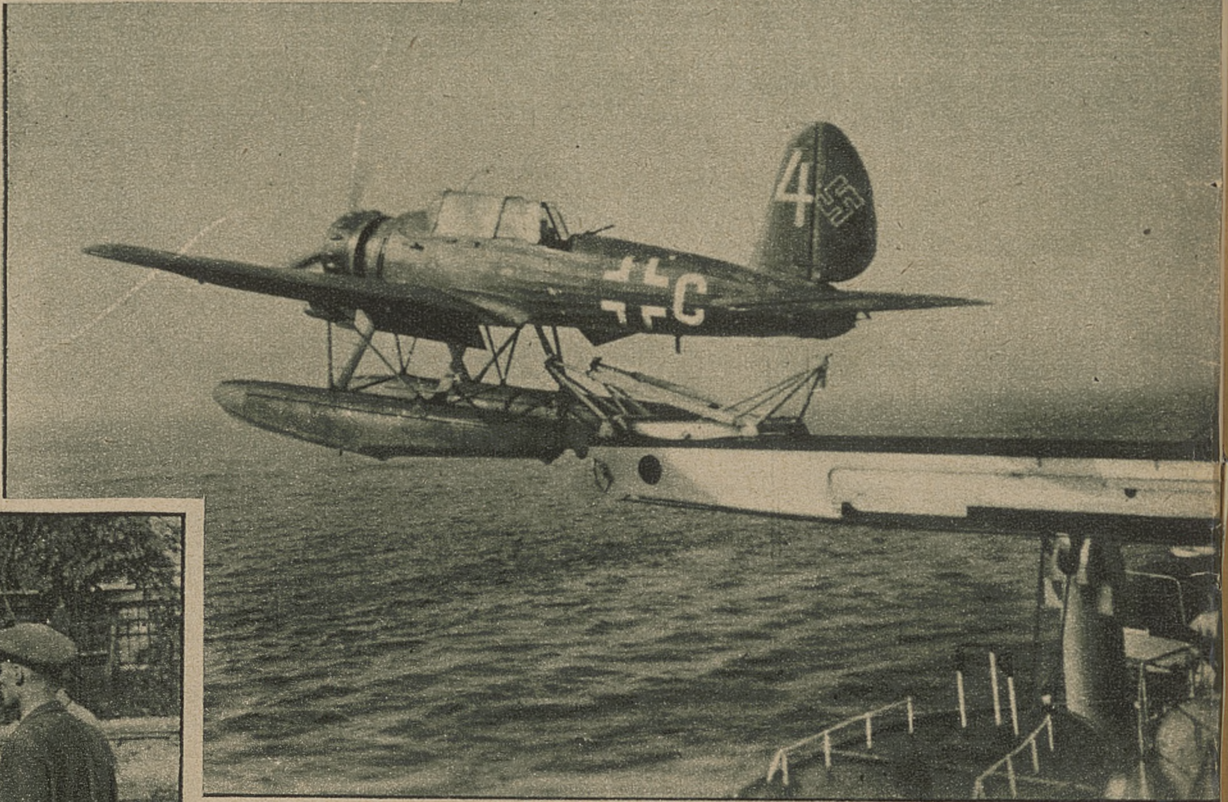


NA ZACHODZIE
Resztki amerykańskiego czołgu typu „Shermann", zniszczonego przez niemiecką broń przeciwpancerną.



NA MORZU
Niemieckie łodzie strażnicze, czuwające nad bezpieczeństwem portu, w czasie nocnej walki z nieprzyjacielskim lotnictwem.

NA BAŁTYKU
Niemiecki bombowiec startuje z pokładu okrętu wojennego do lotu na sowieckie pozycje przybrzeżne.

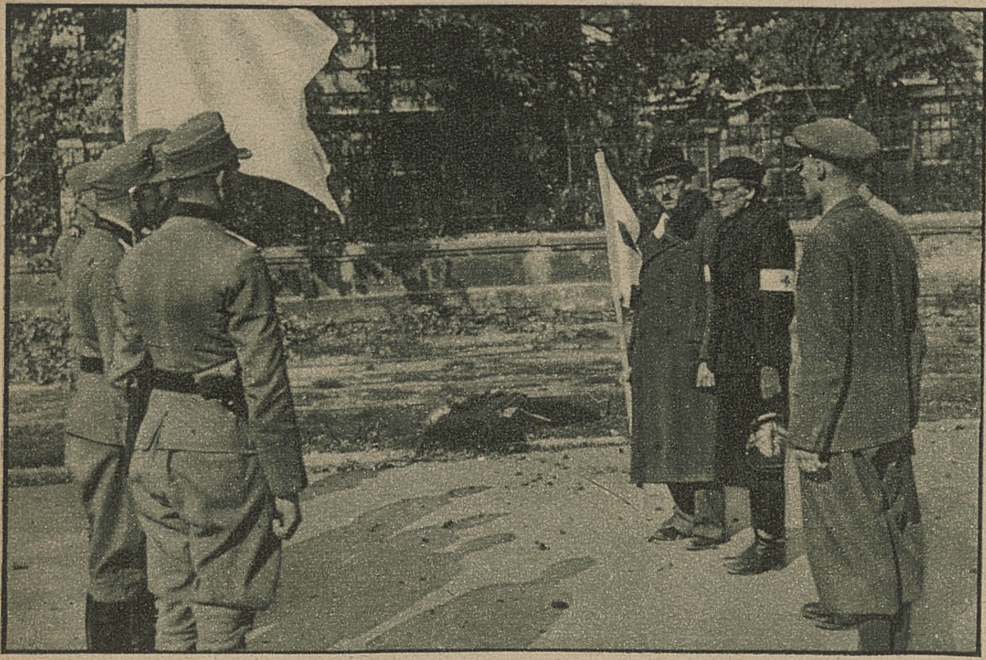




Na lewo:

GRENADIER NISZCZY CZOŁG

Ten oto niemiecki grenadier zapalił celnym strzałem swej „pięści pancernej" nieprzyjacielski czołg.





Z OSTATNICH DNI POWSTANIA W WARSZAWIE

Powyżej:
Parlamentariusze z miasta spotykają niemiecką delegację, która zaprowadziła ich następnie na miejsce gdzie omówiono warunki kapitulacji.

Na prawo:
Mieszkańcy Warszawy, niosąc resztki swego mienia, torują sobie drogę wśród gruzów domów, by dojść do punktów zbornych. Ludzie ci przez okres walk mieszkali w piwnicach i kanałach.

Fot: PK Speck-TO, Winkelmann, Speck, Pietsch-Sch., SS-PK. Anger, Ahrens.

PIERWSZA POMOC DLA UCHODŹCÓW Z WARSZAWY





Powyżej i powyżej na prawo:
Jedną z największych trosk, po upadku powstania w Warszawie, była kwestia zaopatrzenia ludności w żywność. Niemieckie władze, wojsko i PCK jak również RGO rozdzielają ciepły posiłek i chleb, a następnie starają się o pomieszczenia dla uchodźców.





Na lewo:
Również chorzy i ranni są możliwie szybko otaczani opieką lekarską. Na zdjęciu widzimy ranne dzieci, znajdujące się chwilowo pod opieką Sióstr.

Powyżej:
Przedstawiciele polskiego duchowieństwa zwiedzają jeden z obozów, w którym umieszczono uchodźców z Warszawy.



Na lewo:
NOWY SZEF RZĄDU WĘGIERSKIEGO
Po ustąpieniu regenta Horthyego urząd prezydenta ministrów objął Franciszek Szalasy.

Fot: SS. PK. Unger, Ahrens 3. PK. Schlegel-TO, Scherl, Transozean.

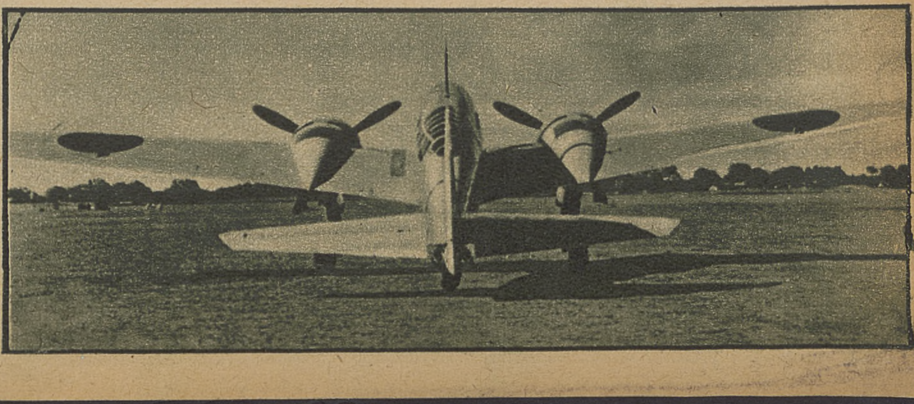
Węgierska kawaleria na froncie wschodnim.





Powyżej:
TAIWAN — STOLICA FORMOZY
Na wschód od wyspy Formozy odnieśli Japończycy wielkie zwycięstwo morskie niszcząc przy tym wiele okrętów amerykańskich.

Poniżej:
JAPOŃSKI SAMOLOT PRZED STARTEM
Japończycy zawdzięczają swe ostatnie zwycięstwo w znacznej mierze doskonale wyszkolonemu lotnictwu.





Fot. Eurofot

Na prawo w kole:
SORTOWANIE POŁOWU
Połów się udał. Oprócz okazów zwyczajnych ryb znalazło się też kilka węgorzy.



Rybołówstwo jest zawodem jednym z najstarszych na kuli ziemskiej, bo nawet starszym od rolnictwa. Człowiek, zanim stał się osiadłym i rolnikiem, był przedtem wędrowcem, a więc myśliwym i rybakiem. A ponieważ wód nie brakowało, więc rybaków było dużo. Nic dziwnego, że mając tak poważny wiek, rybołówstwo może się poszczycić takimi doświadczeniami w zakresie sposobu chwytania ryb jak i wiadomościami z ich życia. Z doświadczeń przodków korzystały pokolenia następne i przekazywały je z kolei swoim następcom, stąd tak powszechna znajomość rzeczy nawet bardzo trudnych u rybaków, którzy nie skończyli żadnych szkół fachowych ani ogólnych.

Rybołówstwo wykorzystuje naturalne warunki stworzone przez przyrodę. Tam gdzie te warunki nadal istnieją, rybołówstwo idzie dalej swoją drogą, wprowadzając tylko pewne ulepszenia techniczne. W wielu jednak wypadkach warunki naturalne przestały istnieć. Uregulowanie rzek i umocnienie brzegów, ożywiona komunikacja rzeczna, a przede wszystkim uprzemysłowienie kraju i, co z tym związane, zanieczyszczenie wód zepchnęły rybaków i ryby z nad uprzemysłowionych rzek do cichych rzeczułek, stawów i jezior. Z konieczności rozmiary rybołówstwa musiały ulec skurczeniu, ale zwiększyła się za to sztuczna hodowla ryb i racjonalna gospodarka rybna. Gdzie ilość nie może być dostateczna, tam kładzie się nacisk na jakość. Często można nawet ilościowo osiągnąć wielkie wyniki, jeśli się zarybi jeziora, stawy i rzeki dotychczas mało „produktywne", oczywiście pod warunkiem, że tych jezior i stawów jest poddostatkiem. Znaczenie ryb dla pożywienia jest powszechnie znane, dlatego hodowla ryb mimo postępującego coraz bardziej uprzemysłowienia nie tylko nie upadnie ale zwiększy się. Tam gdzie nie starczy stawów, rzek i jezior naturalnych, powstaną sztuczne, a gdzie nie ma po temu ludzi znających się na hodowli ryb i rybołówstwie i kochających ten zawód, tam powstaną doświadczalnie rybne i szkoły hodowców ryb. Nie pierwsza to będzie i nie ostatnia dziedzina, w której zapanuje „sztuka".

Ryby dostarczają nam nie tylko pożywienia w postaci mięsa, mającego taką samą wartość odżywczą jak cielęcina, w postaci tłuszczu, ale są także „surowcem" dla przemysłu. Spośród wielu zastosowań wymienimy tylko: wyrób skór.

Różne odmiany ryb znajdujących się na rynku, na żywo i wędzonych lub suszonych, świadczą o tym z jednej strony, że w świecie rybim panuje rozmaitość gatunków, a z drugiej strony, że ludzie wysilają się, aby występujące obficie ryby dostarczyć także do ziem odległych od miejsca łowienia. Umiejętność wędzenia, suszenia, transportowania to również niemniej ważna dziedzina rybołówstwa wymagająca znajomości rzeczy i wprawy. Dlatego też przy dzisiejszym układzie stosunków gospodarczych panuje i w rybołówstwie, zdawałoby się, tak związanym ściśle z naturą, planowość, organizacja i podział pracy, a przede wszystkim szkolenie. Szkolenie to najważniejsza dzisiaj rzecz przy wszelkiego rodzaju przemianach, racjonalizacjach, udoskonaleniach.

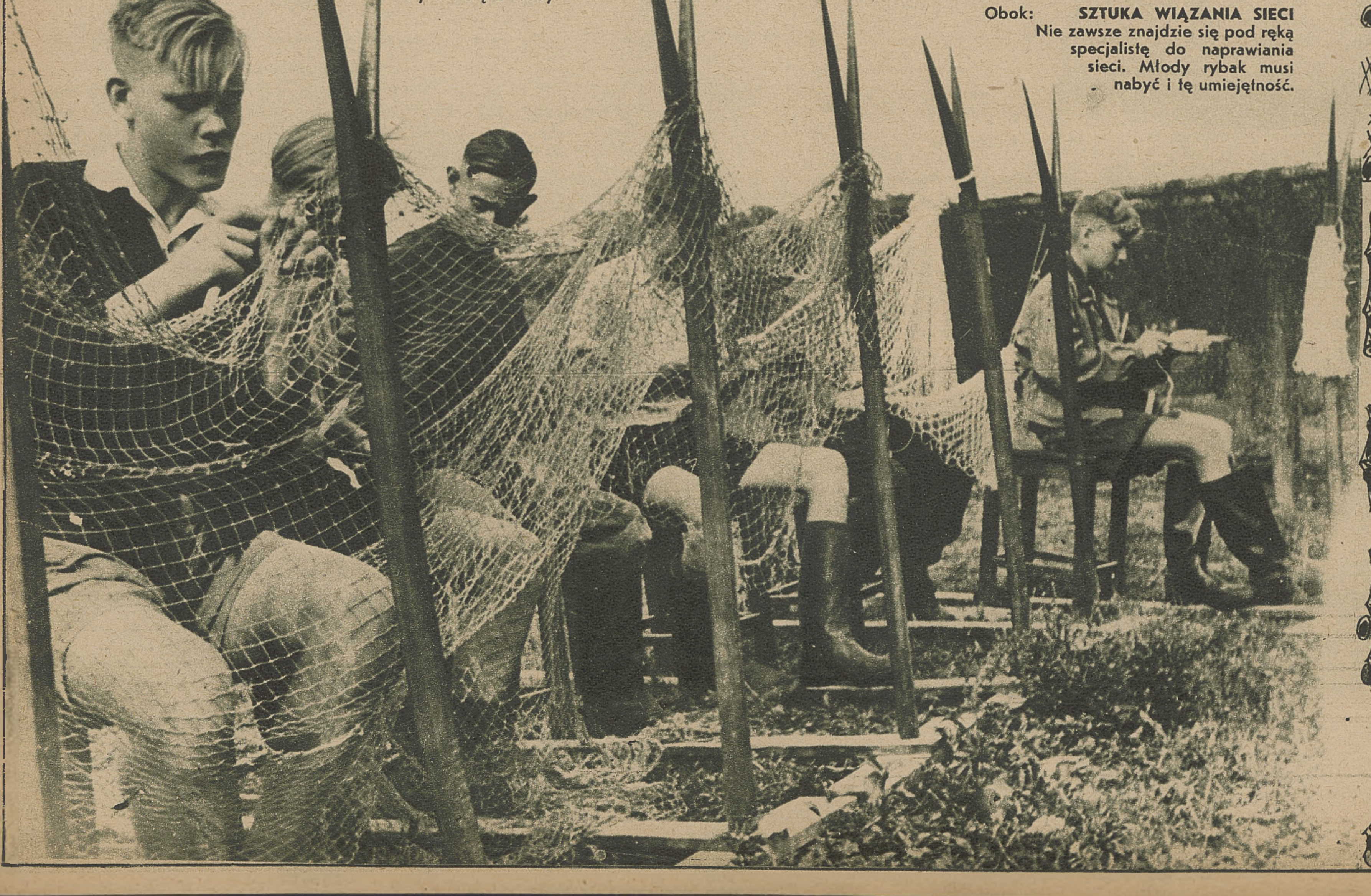
Toteż nie dziw, że i w dziedzinie rybołówstwa powstają szkoły i zakłady doświadczalne. W Niemczech powstał taki zakład, dotychczas jedyny, mający właśnie na celu szkolenie „narybku" rybackiego i przeprowadzanie doświadczeń w zakresie hodowli i łowienia. Nauczyciele udzielają swoim uczniom wiadomości teoretycznych i zaprawiają ich do sprawności technicznej. Podstawy gospodarcze i biologiczne rybołówstwa jak i najpotrzebniejsze wiadomości handlowe są również objęte programem nauki tej trzyletniej szkoły rybołówstwa.

U góry:
POŁÓW Z NIEWODEM
Ściąganie niewodu, olbrzymiej sieci długości 600 metrów. Jak sznur pereł ciągną się pływaki sieci na powierzchni jeziora. Ostatnia część sieci, tzw. sak, w którym zbierają się złapane ryby, wkrótce wyłoni się z wody.

WESOŁY JAK RYBKA
Młody rybak zadowolony jest z siebie i swojej pracy. Nie znając jeszcze trosk dorosłego rybaka, jest beztroski jak ryba.

Obok: **SZTUKA WIĄZANIA SIECI**
Nie zawsze znajdzie się pod ręką specjalistę do naprawiania sieci. Młody rybak musi nabyć i tę umiejętność.

SZTUKA

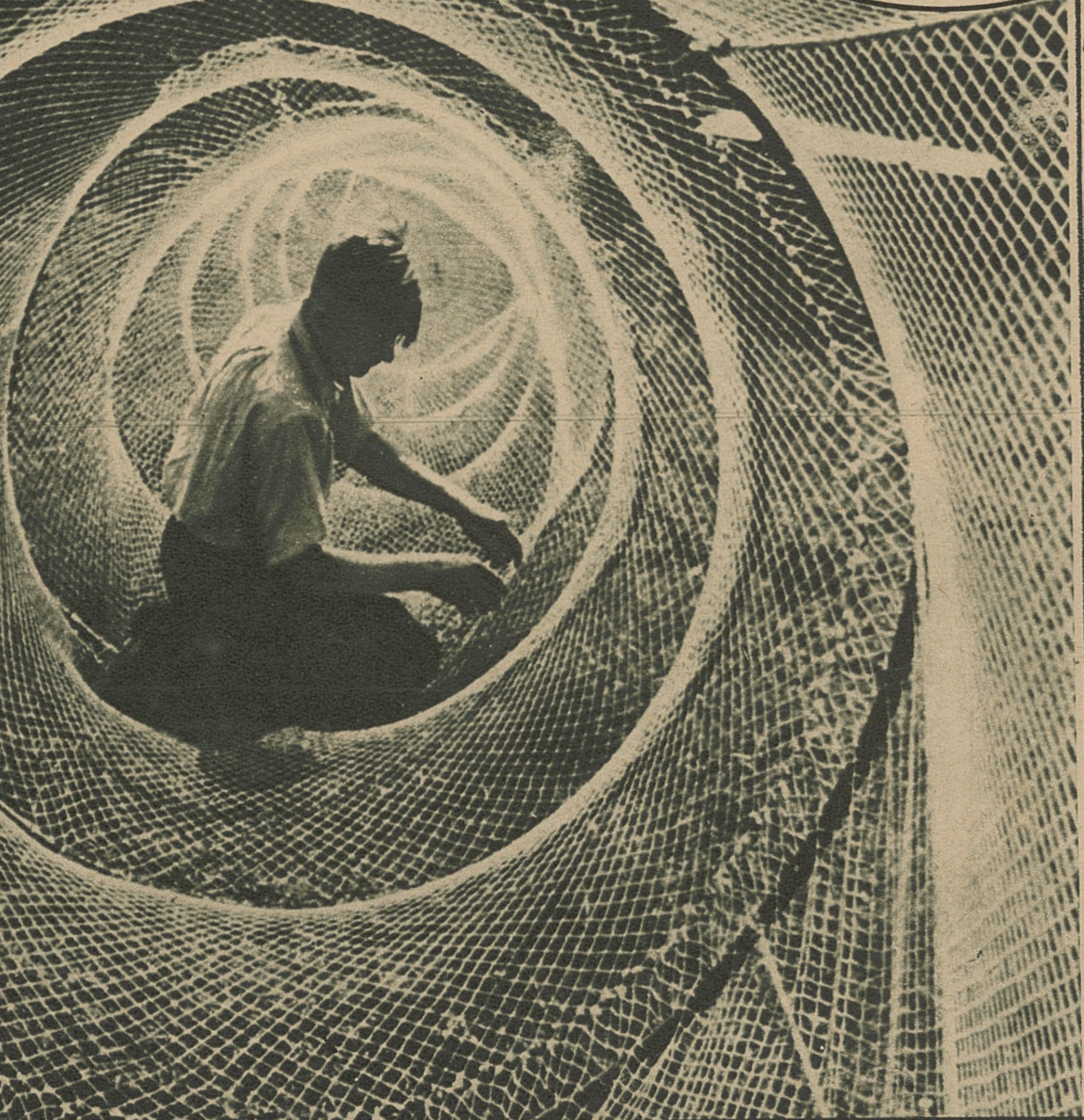




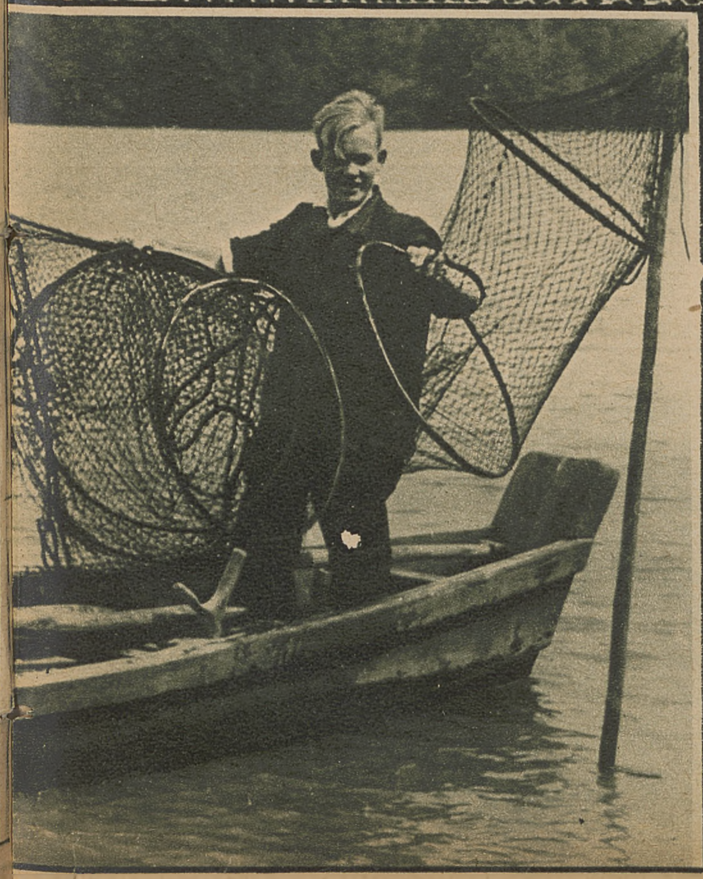
Na prawo w kole: **NA ŁAWIE SZKOLNEJ**
Rybak musi także przyswoić sobie wiadomości o wewnętrznej budowie ryby. Pod płytami szklanymi stołów laboratoryjnych widoczne są rośliny wodne, które dla „wydajności" wody mają duże znaczenie.

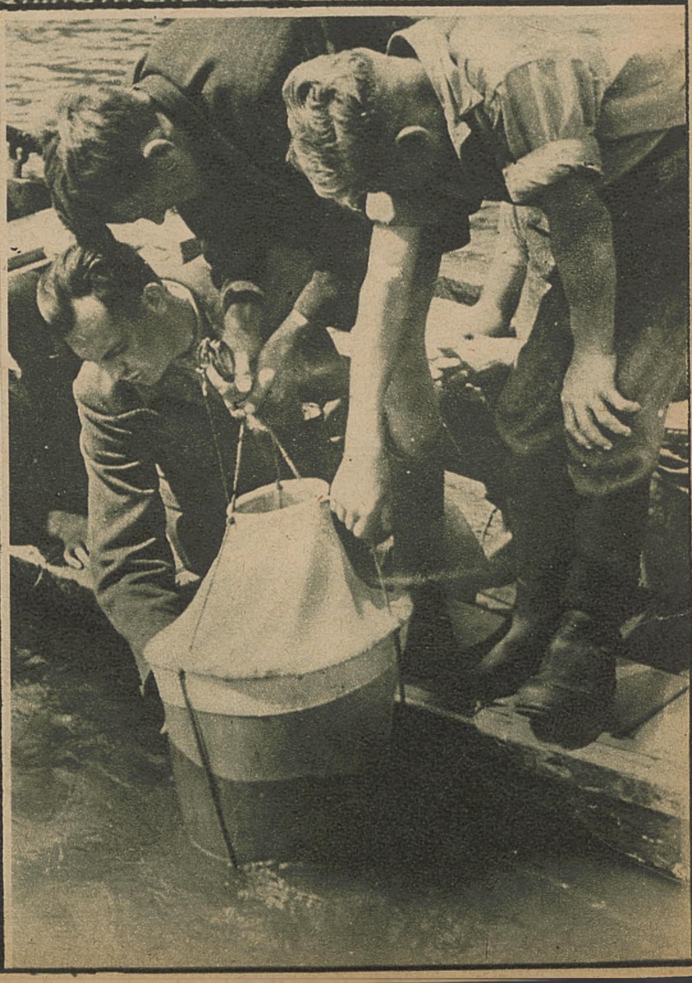
Poniżej: **RYBAK W SIECI**
Uczeń rybacki przegląda oczka wielkiej sieci-więcierza przed wyjazdem na połów.





RYBAKÓW



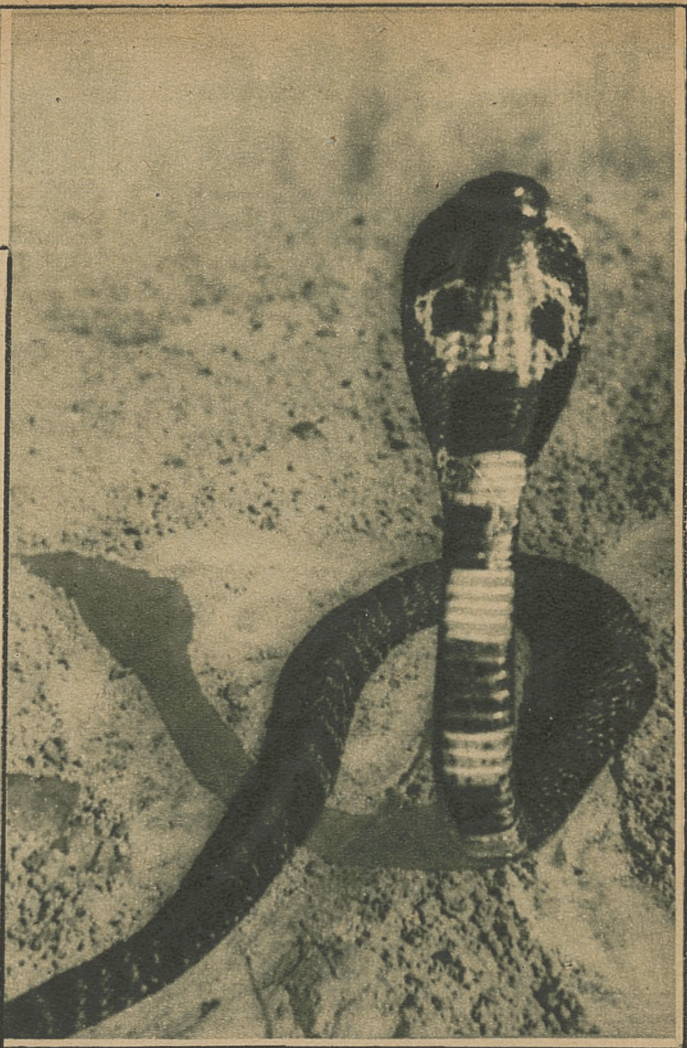


Na prawo: **UDAŁY POŁÓW!**
Nie, to nie ryby wyławia się tą silną siatką gazową, lecz pokarm dla ryb, które bada się w laboratorium.
Na lewo: **ROZKŁADANIE SIECI**
Sieci są najważniejszymi narzędziami pracy rybaka. Troska o sieci tak w czasie połowu jak i po nim należy do równie ważnych zajęć rybaka jak sam połów.

Pojedynek



Poniżej i na prawo:
Dramatyczne spotkanie dwóch przeciwników. Czarnofuterkowy ichneumon dąży tropem groźnej kobry, która już wypatrzyła swego wroga.





Powyżej:
Pierwsze starcie — ostre zęby ichneumona od razu osadzają kobrę.

Poniżej:
Cierpliwość i ostrożność mają swe granice. Po dłuższej chwili, będącej prawdziwą próbą nerwów, przeciwnicy podejmują ostateczną walkę.



Wbrew utartym przekonaniom dżungla nie obfituje w grubego zwierza. Tak zwierzęta kopytkowe jak i uganiające się za łupem drapieżniki zamieszkują pobrzeża dżungli stykające się ze stepami, dającymi im pożywienie. Sama dżungla nie jest w stanie wyżywić grubszej zwierzyny.

Dżungla nie jest jednak całkowicie pozbawiona życia. Gdy tylko światło dzienne przedrze się przez liany, tworzące prawie naturalny dach na koronach niebotycznych drzew, wrzask licznego ptactwa i pisk małp wypełniają dżunglę. Prawdziwym postrachem podzwrotnikowych lasów są jadowite węże i śmiercionośne owady. Wielu białych podróżników przypłaciło życiem swe badawcze wyprawy. Zabił ich jad zimnokrwistych gadów, przeciwko któremu biali ludzie byli przez dłuższy czas nieuodpornieni.

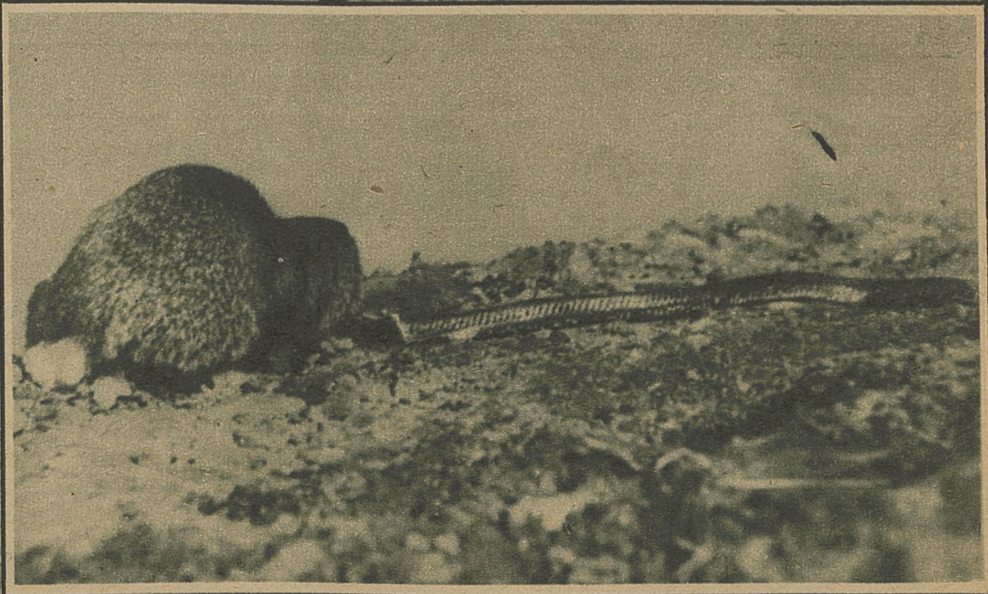
Zdawałoby się, że jedynie ludzie cywilizowani są zdolni do czynienia wynalazków. A jednak — nie! Bo samo pojęcie cywilizacji jest bardzo względne. Niektóre szczepy indyjskie posiadały wysoką kulturę — wystarczy wymienić Azteków środkowo-amerykańskich. Poza tym nawet dziksze szczepy miały swe zwyczaje i tradycje, a nawet wynalązki świadczące o pewnym stopniu kultury.

Takim przejawem kultury i inteligencji „dzikich" czerwonoskórych były niezawodne odtrutki przeciwjadowe. Biali ginęli jak muchy, a tymczasem Indianin ukąszony przez jadowitego węża nie tylko nie umierał, ale nawet nie chorował. Sposób preparowania tych niezawodnych odtrutek był i jest po dzień dzisiejszy zazdrośnie strzeżony przez czarowników indyjskich.

Znacznie później i białym zdobywcom udało się wynaleźć antidotum jadowe. Nie zawsze jednak podróżnik czy kolonista miał i ma je „pod" ręką.

Najradykalniejszym sposobem walki jest tępienie jadowitych węży. Sama natura wydając na świat niebezpiecznych szkodników postarała się o środki zaradcze. Takim zajadłym łowcą jadowitych węży jest ichneumon. Nawet potężna kobra, potrafiąca w swym mocarnym uścisku zdławić człowieka, najczęściej w walce na śmierć i życie ulega ichneumonowi.





Silne szczęki starają się dosięgnąć czułych miejsc przeciwnika i oto dzieje się nieprawdopodobna rzecz — mały i niepozorny ichneumon uśmierca kobrę. Jeszcze sprężyste cielsko kobry pręży się i ogon bije o ziemię, ale to już ostatnie chwile gada. Ichneumon zwyciężył! Ichneumon pomaga zwalczać plagę krajów podzwrotnikowych.

Fot: Dr. Schmidt-Schaumburg.

Tekst: A. M—i.

Branimir Divadić

LEGENDA O AMISIE I AMILU

Z chorwackiego przełożył WIKTOR PODMAJERSKI

Dokończenie

Dusza Amisa, zmęczona i smutna, zbolała była jak rzadko kiedy... Tego dnia zauważył, że żona Amila oddaliła się zupełnie od niego. Gdy teraz widział ją tu przed sobą serce krajało mu się od męki. Wiedział, że winnym jest wobec tej kobiety, że krzywdę wyrządził jej życiu, oszpeciwszy je smutkiem, jaki wieje od jego boleści i miesza się z każdą jej radością. Wiedział, że ona obwinia go także o ten dziwny zwrot w Amilowej duszy...

Amis chętnie powiedziałby jej cokolwiek, chętnie błagałby ją o przebaczenie, lecz zanadto był przekonany, że nic by to nie pomogło.

Dlatego udawał, że śpi i nie odezwał się, gdy chciała pożegnać się z nim.

Kiedy nazajutrz przyszedł ojciec Eufroniusz, poprosił go Amis, aby mu przeczytał to, co zapisał pod nagłówkiem B ó l. A gdy ojciec mu przeczytał, polecił mu Amis dopisać jeszcze następujące słowa zakończenia:

Również i Amisowi nie użyczył los innych radości jak te, które są w cierpieniu.

Ojciec Eufroniusz odłożył pióro myśląc, że to koniec sentencji. Lecz Amis dyktował jeszcze dalej niezrozumiałe słowa:

Jeśli Amil kocha Amisa, uczyni dlań wszystko!

A potem zupełnie zrozumiale rzecze ojcu Eufroniuszowi:

Weźmij Pismo Święte i odszukaj rozdział: Abraham ofiaruje Izaaka. Poszukaj i czytaj!

Ojciec Eufroniusz sięgnął po księgę, która leżała na półce u wezgłowia nad łóżkiem, a zamyśliwszy się, rzecze: „Księga Mojżeszowa pierwsza, rozdział dwudziesty drugi", otwarł księgę i zaczął czytać.

Amis słuchał uważnie, jak Abraham pewnego ranka narąbał drew, objuczył osła, wziął dwóch chłopców i swego syna Izaaka i udał się w drogę do ziemi Moria... Jak potem doszli na miejsce i Abraham zbudował ołtarz i ustawił na nim drwa i związawszy Izaaka, syna swego, złożył go na ołtarzu na drwach, wziął nóż i zamachnął się ręką, aby zarżnąć syna swojego.

Tutaj przerwał Amis czytającemu, wykrzyknąwszy w podnieceniu urągliwe słowa:

— Twój Bóg jest smakoszem, wielebny ojcze! Nie czujesz-li, jak się rozkoszował cierpieniem biednego Abrahama?... Ja to dobrze czuję...

— Panie, — odrzekł spokojnie Eufroniusz — Bóg chciał wypróbować miłość Abrahamową, bo — jak mówi święty Paweł:

„Ja wiem na pewno, że ni śmierć, ni żywot, ni aniołowie, ni zwierzchność, ni siły ani teraźniejsze ani przyszłe, ni wyniosłości, ni głębie, ni też jakiekolwiek inne stworzenie nie może nas oddzielić od miłości Bożej."

— Dobrze mówisz, — rzecze na to Amis — ale teraz powiedz mi jeszcze i to: Dlaczego-to właśnie tak uczynił Pan?

Eufroniusz zamyślił się chwilę, a potem powołując się znów na świętego Pawła, odpowiedział przekonywująco:

— Gdyż myślę, że cierpienia czasów teraźniejszych są niczym wobec chwały, jaka nam się objawi, a *„cielesne rozmyślanie śmierć jest, a duchowe rozmyślanie żywot jest i pokój"*.

Każde słowo ojca Eufroniusza wryło się głęboko Amisowi w pamięć i cały dzień nie mógł się uspokoić od wielkiego wzruszenia.

...Wieczorem wszedł Amil do komnaty i usiadł tuż przy głowie chorego.

— Amisie, — mówił Amil nachyliwszy się wdzięcznie nad chorym — co tobie jest, kochany przyjacielu? Czyż choroba ci się pogorszyła? Lub może dręczą cię dolegliwości, których nie chcesz wyznać twemu bratu? Odkąd zwątpienie zasiałeś w moją duszę, odtąd trzykroć silniejszą jest moja miłość względem ciebie! Przez ciemności moich bezsennych nocy przebiła się ona i teraz świeci jasna jak zorza poranna!

— Amilu — odparł smutno Amis — uczyniłeś dla mnie więcej, niż człowiek uczynić może. Jednak prosiłbym cię jeszcze o jedno, ostatni raz: zwolnij mnie z mojego przyrzeczenia i pozwól mi odejść, skąd przyszedłem...

— Tego życzenia — odrzekł stanowczo Amil — nigdy ci nie spełnię! Dałem ci słowo, że będę cię pielęgnował w moim domu. Tego słowa nie złamię nigdy!

Wtedy Amis wyprostował się na łożu, pobladłszy jak zmarły, i głosem dalekim, jakby był nieobecny, wyrzekł te słowa:

— Jeśli mnie nie puszczasz, to mnie ratuj! Weźmij miecz i utnij głowy dzieciom twoim, ukąp mię w niewinnej ich krwi, a uleczą się rany moje i dusza twoja!

Jak gdyby członki skostniały zmarłemu, tak Amis pozostał wyprostowany, a Amilowi opadła głowa i zanurzyła się w purpurowe nakrycie.

Płakał gorzko i serdecznie jak nieletnie dziecię.

Wtedy Amis ujął prawą ręką ukochaną głowę, wplótł palce w miękkie włosy i oddał się zupełnie rozkoszy bezgranicznego bólu.

Potem podniósł się Amil i rzecze spokojnie do przyjaciela:

— Chętnie oddałbym ci wszystkich moich junaków i sługi i wszystko mienie moje, ale okropne jest to, czego żądasz, abym zarżnął dzieci moje.

A Amis odparł smutno:

— Ja wiem, że powiedziałem coś okropnego, lecz powiedziałem ci to z konieczności. Puść mię, pozwól mi odejść, ażeby w dom twój z powrotem wróciło szczęście i radość życia!

Wzruszony głęboko, rzecze na to Amil:

— Dobrze, przyjacielu, jutro, gdy owa noc przejdzie z naszych dusz, jaśniej zobaczymy drogi, którymi trzeba nam będzie pójść...

I uścisnąwszy gorąco prawicę przyjaciela, wyszedł Amil z izby.

Dawno już minęła północ w mrocznej ciszy nocy, a Amil ciągle jeszcze widział przed sobą trupio bladą twarz Amisa i słyszał okropne, nierozumne słowa — „Weźmij miecz i poucinaj głowy dzieciom swoim!" W gorączkowej grze myśli jego straszny ów czyn jako już gotowy i dokonany, we wszystkich bolesnych szczegółach, obraz za obrazem przesuwał się przed oczyma jego bolesnej wyobraźni. Krwawa i niezatarta scena rozgrywała się przed nim w całej swojej grozie...

— Nie, nie! — odwodził Amil sam siebie, przyciskając oczy do poduszki.

— Nie, nie — przenigdy: nie!

...„A jednak!" — odzywał się wtedy skądś drugi tajemny głos i przekonywał Amila z nieodpartą siłą złośliwej wymowy. — „Jeśli ten człowiek był gotów ofiarować za ciebie swoje życie, to ty nie pozabijałbyś swoich dzieci? Masz złamać wiarę temu, który wiernym ci pozostał do śmierci?"...

...I gdy tylko pierwsze światło nowego dnia przebijało ciemności, Amil obudził swą żonę. Rozkazał jej, żeby się ubrała i poszła do kaplicy na jutrznię. A kiedy żona opuściła komnatę, wstał także i sam ubrał się i sięgnął po miecz. Po cichu zbliżył się do dziecięcej izby i stanął przed umiłowanym gniazdkiem swych dzieci. Opanowała go niewypowiedziana żałość; słaby i złamany upadł na łóżko na ciepłe dziecięce ciała...

I rozpłakał się gorzko i westchnął przebolesnym westchnieniem.

— Czyż słyszał kto kiedy o ojcu, który by z własnej woli pozabijał dzieci swoje?... Ach, dzieci drogie, nie jestem już waszym ojcem, ale waszym bezdusznym mordercą!

A dzieci przebudziły się, gdyż dotknęły je łzy ich ojca, spojrzały miło w twarz ojcową i skupiły drobniutkie usteczka w wesoły uśmiech.

Wtedy rzecze do nich Amil pełen słodkiej goryczy:

— Wasz śmiech przemieni się w łzy, gdyż wasza niewinna krew musi być wylana.

I wtedy wziął miecz...

— — — — — — — — —

Kiedy w chwilę potem stanął przed Amisem, a ten zobaczył krew na jego rękach, upadł Amil na kolana przed nim i żarliwie rzecze:

— Panie Jezu Chryste, który ludziom nakazałeś wierność na ziemi, któryś trędowatego uleczył słowem swoim, ulecz i przyjaciela mojego, gdyż przelałem zań krew dzieci moich.

I stał się wtedy cud.

Zapach niewinnej krwi przepłynął przez duszę Amisa, zalał ją całą jak słoneczny promień zalewa ciemność... I Amis wyprostował się zdrów, zdrów jak jeleń wśród gór.

...Amil nakazał sługom, aby przynieśli najdrogocenniejszy jego strój. Sługi wrócili wnet i ustroili Amisa w najwspanialszy lśniący ubiór rycerza.

I wtedy ruszył pochód do zamkowej kaplicy; na czele korowodu ręka w rękę Amis i Amil, a za nimi Francisco i Antonio.

Żona Amilowa zadziwiła się niewypowiedzianie i zaskoczona najzupełniej, zapytała:

— Któryż między wami jest mój mąż? Rozeznaję ubiory, ale człowieka od człowieka odróżnić nie mogę.

A Amil jej rzecze:

— Ja jestem Amil, a to jest Amis uleczony z choroby swojej.

Upadli tedy na kolana i chwalili dobroć Pana, a organy z chóru jak dalekie echo wstrząsnęły ich dusze majestatyczną melodią Te Deum...

...Tymczasem wieść o cudzie na Amilowym dworze z taką szybkością obleciała wszystkie domy w mieście po drugiej stronie rzeki i po wsiach i po przysiółkach, że Amilowi zdawało się, gdy dzwony na kościelnych wieżach zajęczały, że jęczą same od siebie.

I urządzono wtedy wielką uroczystość. Przystrojono stoły kwieciem i wyniesiono złote talerze. U czoła stołu po lewej i prawej ręce Amilowej żony, gdzie siedzieli Amis i Amil, postawiono puchary, chrzestne dary papieskie.

I wielka, niekrępowana radość weszła w serca wszystkich... Tylko Amis i Amil patrzyli smutno przed siebie w swoje drogocenne puchary... A kiedy Amilowa żona zapytała, jak stał się ten cud, żaden z nich nie mógł jej powiedzieć...

Wtedy w radości swojej Amilowa żona zapragnęła koniecznie dzieci swoich i podniosła się i chciała pójść, aby je obudzić... Lecz Amil przeczuł jej pragnienie, gdyż i sam również gorąco pragnął wypłakać się nad nimi, więc nie pozwolił jej pójść... Za chwilę podniósł się i pośpieszył do gniazdka swych dziatek.

Gdy ręką ujął za klamkę, opuściły go siły, a boleść jakby ostrze miecza przeszyła mu piersi...

Pod ciężarem ciężkiego jego ciała drzwi otwarły się same, a lube dzieci zobaczywszy ojca, rzuciły się w jego szeroko rozwarte ramiona.

Oszalały ze szczęścia, podniósł je Amil wysoko ku niebu i pobiegł z nimi.

— Oto, — wołał Amil wróciwszy do swoich, — raduj się luba żono, bowiem dzieci twoje, które pozabijałem, żywe są, a Amis ozdrowiał od ich krwi!

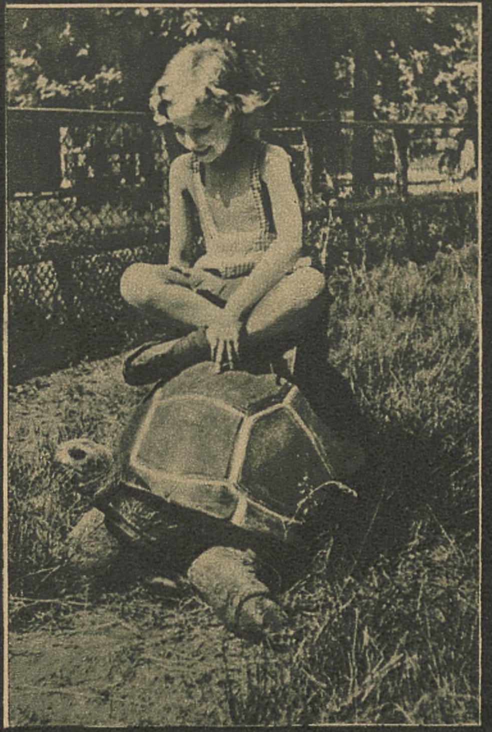
Zdumieli się wszyscy nad tym wielkim cudem, a Amis i Amil w tej samej chwili jakby najwyraźniej zoczyli na białych dziecięcych szyjkach cienkie jasno-różowe pręgi: ostrza miecza świeży krwawy ślad.

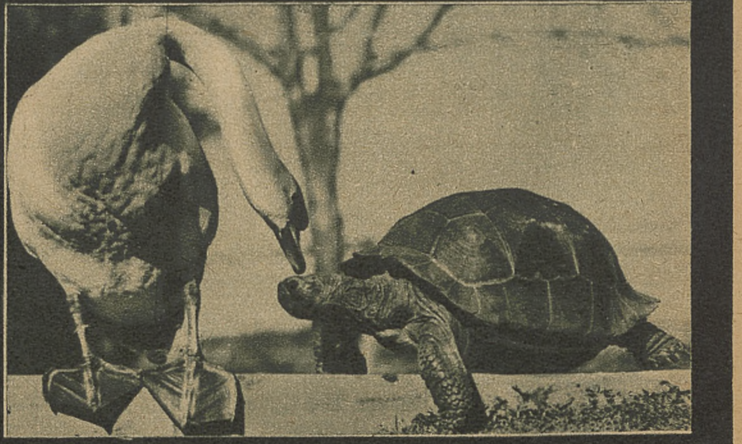
ŻÓŁWIM KROKIEM...

Fot. Atlantic

Tekst M. A. Hessel







Buras pazurem i — zręcznością
naciera na kształt brzydki, ciężki.
Nie wskóra nic napaścią kocią...
nic nie pomoże mu, że zręczny —
pancerz, to baszta (jak milczenie!):
jej nie rozbije byle groza!
a futro miękkie jest, choć cenne,
i łatwo je rozedrzeć można...

Dzieweczko! siądź i jedź bez trwogi!
Bo choć nie równać mi się z kotem
co ma od wiatru chyższe nogi...
ni też z ptakami, co są lotne... —
powoli zwyciężymy przestrzeń!
Świat nie jest znowuż taki wielki!
Oszczędzaj sił! Nigdy nie spiesz się!
Jak ja... i przez to żyję wieki. —

„Twe białe skrzydła, to ambicja,
że jeśli zechcesz — truniesz w słońce!
Ta między nami jest różnica
żem jest przyziemny... pełzający...
a jednak ciężko i powoli
zajdę, gdzie trzeba! Kto zaś leci
łatwo spaść może (a to boli...)
z podniebnych wyżyn — w kupę śmieci."

KOTEK

G. MÜHLEN-SCHULTE

Jesienny wieczór. Rozbłyskujące punkciki świateł w ciemności między rzędami domów. Błyskają na przemian, odbijają się słabo w mokrym asfalcie — wszystko to sygnały, które mają wędrowca wielkomiejskiego ustrzec od kół niezbyt ożywionego ruchu komunikacyjnego. Pogoda marna. Sączy się z góry przenikający wszystko „kapuśniaczek"; wiatr niegodziwiec miota się na wszystkie strony. W ogólności nastrój, że tylko stuknąć się w czoło i pytać o sens życia, a w szczególności znajduje się za słuszniejsze, aby nie było żadnych sygnałów ruchu.

Na przystanku kolei elektrycznej trzy figury: dama w bajecznych popielicach, jegomość w impregnowanym płaszczu i robotnik w przemoczonym kombinezonie.

Dla czekających czas stoi w miejᶜ " nic się nie dzieje. W rzeczywistości jednak w oddali coś dźwięczy obiecująco. Wkrótce słychać też zawodzenie szyn na zakręcie. Można odróżnić już coraz zbliżające się turkotanie: wreszcie — tramwaj! Zatrzymuje się.

Czekający szykują się do wejścia na tylną platformę. Robotnik w kombinezonie, nazwijmy go „Przemoczony", zauważa przyjacielsko:

— No, teraz szybko na huśtawkę! Może pani pomóc, paniusiu?

— Proszę mnie nie dotykać!

— Nie to nie! Jaka delikatna — z tego jeszcze nikt dziecka nie dostał!

— Proszę pospieszyć — upomina konduktor.

— Co znaczy pospieszyć — mruczy „Impregnowany". — To pan niech się pospieszy. Całą godzinę czekaliśmy na tramwaj. Można się na śmierć przeziębić.

— Mowę pogrzebową proszę zostawić na później. Szybko wsiadać!... Musi pani zostać na platformie; miejsc w wozie nie ma!

Konduktor sięga do linki sygnałowej. W tym momencie wynurza się z dołu, od schodków jakaś miniaturowa postać z błyszczącymi oczyma i ociekającymi wodą policzkami.

— Panie konduktorze, proszę się zatrzymać! Ja także chcę jechać.

— Szybko wyłaź, pędraku... No, to jesteśmy w komplecie... Odjazd!

Zajęczał sygnał motorowego, koła ze zgrzytem ruszyły z miejsca. Przemoczony zwrócił się do chłopca:

— No, malcze, gdzieżeś tak długo siedział! Wracasz ze szkoły czy z bridge'a?

— Nie. Ja byłem u cioci Ani i wuja Gustawa. Obchodziliśmy moje imieniny.

— Aaa, wszystkiego dobrego! Pewnie upiekła ci twoja ciocia Ania pyszne ciastka?

— Naturalnie! Sprzedała swoją wyżymaczkę i kupiła za to mąki i rodzynków. Powiedziała, że maszyna jej niepotrzebna, kiedy ma swojego Gustawa.

Dama popielicowa wmięszała się do rozmowy:

— Powiedz mi, chłopczyku, dlaczego trzymasz tak kurczowo w pięści sznurek?

— To nie jest żaden sznurek, to jest linka!

— Ach tak, to jest linka. A czemu zwisa na zewnątrz wozu? Dlaczego ją tam spuściłeś? Czy może na drugim końcu jest coś przywiązane?

— Tak! Tam jest mój kotek!

Impregnowany zainteresował się rozmową.

— Co ty mówisz, chłopcze? Kota masz przywiązanego do linki?

— Tak. Nazywa się Muszka. Podarował mi go wuj Gustaw. Ale ja go nie chcę. Dam go mojemu braciszkowi, Wilusiowi.

— A czemu nie chcesz kotka zabrać ze sobą do wozu?

— Tatuś mi powiedział, że nie wolno wchodzić do tramwaju ze zwierzętami. Mój tatuś jest tramwajarzem.

Popielicowa oburzyła się:

— Jak można dziecku wpajać takie bezsensowne poglądy... Panie konduktorze!

— Słucham panią!

— Ten mały ma kota uwiązanego na lince.

— No i co z tego?

— Jeszcze się pan pyta? Niech pan każe wóz zatrzymać i wprowadzić biednego kotka do wnętrza wozu!

— Nie mogę. To się sprzeciwia porządkowi ruchu.

— Porządkowi? Raczej nieporządkowi — chciał pan powiedzieć. Żądam po raz drugi, niech pan wpuści kota do tramwaju!

— Nic się nie da zrobić, proszę pani! Po pierwsze, nie wolno zatrzymywać tramwaju między przystankami, po drugie mamy już sześć minut opóźnienia, a po trzecie, jest zabronione wprowadzać koty do tramwaju.

Przemoczony uważał za stosowne ostrzec konduktora:

— Nie gniewaj pan tej damy, bo ona pana tak zakrzyczy, że pan języka w gębie zapomni.

Konduktor skinął na znak zgody.

— To jest podwójna niesprawiedliwość — popiera damę Impregnowany. — W imię ludzkości i dręczonej zwierzyny protestuję przeciw temu.

— To panu wolno. Niech się pan zwróci do dyrekcji z pisemnym zażaleniem.

— To jest bezczelność!

Przemoczony wtrącił się:

— Posłuchaj pan, panie szanowny! Ja rozumiem pańskie stanowisko. Ja też jestem przyjacielem zwierząt. Mam w domu króliki: samca i samiczkę.

— Pańskie stosunki rodzinne nie interesują mnie...

— Wzajemnie, szanowny panie. Może mi pan godzinami opowiadać o swojej małpiej klatce, mnie to nie będzie wzruszać. Ale o moich królikach nie pozwolę nic złego powiedzieć. Raz mówię do nich całkiem niewinnie: wy jesteście durne, obydwa. Nie umiecie zliczyć do dwóch. W godzinę później przychodzę do stajni, i co pan powie na to, oprócz moich dwóch starych królików widzę cztery małe króliczęta. Miarkuje pan? Nie tylko dodawać, ale mnożyć umieją! Dwa razy dwa jest cztery. Może pan to w domu zliczy na liczydle.

— To mi jest obojętne. Pana króliki nic mnie nie obchodzą. Tu chodzi o kota.

— Rozumiem dobrze. Chciałem panu tylko wyjaśnić jedno: Dobrze jest troszczyć się o zwierzęta. Ale najpierw i przede wszystkim należałoby pomyśleć o ludziach.

Popielicowa pospieszyła z pomocą Impregnowanemu:

— Co pan za głupstwa opowiada. W jaki sposób to zaszkodzi ludziom, jak wpuścimy tu kota?

— Słuchaj pani! Ja jestem kuliśnikiem, pracuję w teatrze przy kulisach. Dzisiaj mam przedstawienie „Złoto Renu". Muszę huśtać na windzie po zimnych wodach Renu Woglindę i jeszcze dwie inne lalki. Jak my tu będziemy postój robić gdzieś na drodze, to ja przyjdę za późno do teatru. Tymczasem mógłby doskoczyć mój kolega Oskar. On ma dużo chęci, ale z linami nie może sobie dać rady. A w następstwie może się zdarzyć, że Woglinda wykąpie się, przedstawienie zejdzie na psy, intendent się powiesi, a publiczność będzie gwizdać.

— Dosyć z tą gadaniną. Gwizdam na pańską Woglindę.

— Spróbuj pan tylko! Jak panu nasza panienka reńska swoimi mokrymi majteczkami kąpielowymi majdnie koło ucha, to panu świeczki w oczach staną.

— Co za nieokrzesany typ! Konduktor, po raz ostatni pytam: czy zdecydował się pan przyjąć tego kota?

— Chętnie bym to uczynił, proszę pana. Ale to jest wbrew przepisom. Przyjdzie kontrola i kto wtedy beknie? Ja!

Popielicowa dama ułożyła swoje podbródki w władcze fałdy:

— Gdy przyjdzie kontroler, to ja sobie z nim pogadam. Zobaczymy jeszcze. Jestem dyrektorowa Paskowska. Mój mąż jest kierownikiem w branży żywnościowej.

— Moje personalia mogę także podać — oznajmił nosowym głosem Impregnowany i zaczął szperać w swoim portfelu — fabrykant kotylionów, były zastępca starszego kamerdynera książęcego, Posadzka-Wycirowski. Tu jest moja karta wizytowa.

— Jak o to chodzi — zauważył Przemoczony — jestem Wojciech Kluba, po prostu Kluba. Tu jest moja karta żywnościowa!

— Dosyć tego! — zakończył rozmowę konduktor — muszę teraz załatwić z pasażerami. Pani dokąd?

— Zanim wykupię bilet, żądam wpuszczenia kota do tramwaju.

— To jest proste wymuszenie — oburzył się Przemoczony. — Za to siedzi się dwa latka w ciupie, pani Paskarko.

— Nazywam się Paskowska, mój panie! A poza tym nie pytałam się pana o nic, obrzydliwcze!

— Pani sądzi według siebie. Ja mogę tylko powiedzieć, że gdybym miał pani głowę, zaraz bym ją zaniósł do najbliższego składu z odpadkami.

Impregnowany zrobił gest zniecierpliwienia.

— Czy pan nabierze wreszcie rozumu, konduktorze? Kot nie jest koniem wyścigowym, żeby w takim tempie bez przerwy cwałował. Prócz tego biedne zwierzątko nabawi się reumatyzmu przy takiej pogodzie.

— Nic podobnego, wykluczone! — rzekł Przemoczony. — Kot nie dostanie reumatyzmu. Cały jest ubrany w futerko kocie, a kocie futro jest najlepszą ochroną przeciw darciu w kościach.

— Kto pana o to pytał? Niech pan zachowa swoją mądrość dla siebie!

— Tylko nie przewracaj pan gałami, panie Wycirus! Tym pan nic u mnie nie wskóra. Na to jestem za stary cwaniak. W „Wolnym strzelcu" widziałem już nieraz takie oczy u świni, którą ciągnąłem przez scenę.

Impregnowany użył teraz ostatniego argumentu:

— Panie konduktorze, po raz ostatni pytam: wpuści pan kota do przedziału czy nie?

— Nie wpuszczę.

— W takim razie zrobię to sam!

— Ręce przy sobie, panie! Niech pan puści linkę!

Dokończenie na stronie 10

Pochód Duchów

Według ludowych wierzeń, w noc zaduszną gromady duchów idą cierniową drogą wśród skał — po zbawienie. Muszą przejść ponownie przez wszystkie męki życia.

... idziemy — Niespokojni —
kędy los wiedzie: wprzód!
już głaz nam stopy skroił
jedna posoka z nóg
ból bladosiny mętne nam oczy z orbit szarpie
a jednak idziem... idziem... po tej katorżnej szkarpie.

Każdy milimetr ścieżki
krwią naszą kolce liczą
a przecież... w ból przeciężki
za tobą — Sinolico!
Czy mus nam ścieżą ową? Czy tylko jest ta jedna?
czy inną, miększą drogą do celu dojść się nie da?

— — oto u stóp urwisko
wabi chichotem zgubnym — —
a droga od krwi śliska:
cała się skrzy jak rubin!
Tę drogę w niebie chyba będziemy jeszcze pamiętać!
idziemy... spłoszone duchy, posępna mara przeklęta...

a wiedziesz — wiedziesz — męką
nadboską i nadludzką!
nie dajesz chwytu rękom
nie chylisz kropel ustom
noc nas za głowy łapie! jak oprzeć się jej chwytom?!
O, śmierci-koicielko, gdzieś swą podziała litość?

Jak gwiazdy zgasły serca...
Jak ćmy uczucia pierzchły...
Przystań! nie możem więcej...
(czyśmy pół drogi przeszli?)
Skróś tych męczarnych droży szatan jest nam aniołem!
piekło — tęczowym rajem! zgrzyt zębów — śmiechem wesołym!

I cóż nam z celu wreszcie
gdy wprzódy przyjdzie zginąć!
Zmniejsz, śmierci, przyszłe szczęście
a obierz drogę inną
bo gdy nas przeprowadzisz cierniami wzdłuż przepaści
przywiedziesz Bogu do nóg spróchniałe Trupie Czaszki.

M. A. Hessel

RYCERZ KRÓLOWEJ BAŚNI

STANISŁAWA NOWAKÓWNA

Było raz takie miasto, w którym stało sto kościołów.

Najwyższy w rynku sięgał złotą wieżą do chmur.

Nad nim podobno czasem ukazywał się otulony siedmiobarwnymi promieniami tęczy pałac Królowej Baśni.

Utkany z promieni słonecznych o przeźroczystych ścianach. Wewnątrz niego na różanym tronie siedziała czarnowłosa, smukła Królowa Baśni. Obok niej pląsały maleńkie elfy i srebrne pająki. Wygrywały na lśniących sieciach.

Starzy ludzie powiadali, że Królowa Baśni smutna była i nie słuchała muzyki pajęczej, ani nie spoglądała na pląsy zwinnych elfów. Smutną była, bo czekała na swojego rycerza.

Rycerzem Królowej Baśni mógł zostać każdy młodzieniec, który zobaczył jej pałac i pokochał ją całym sercem.

Pałac Królowej Baśni zobaczyć mogło albo dziecko, albo prawdziwy poeta.

Dzieci tego miasta podczas snów bardzo często odwiedzały pałac Królowej Baśni.

Żyło pięciu bardzo sławnych poetów w tym mieście. Napisali oni wiele wspaniałych wierszy w grubych księgach, toteż podziwiani byli i chwaleni bardzo. Dlatego postanowili zostać rycerzami Królowej Baśni.

Chodzili osobno, potem razem pod mury najwyższego kościoła. Zakładali na długie nosy okulary, robili mądre miny i spoglądali w obłoki nad wieżą. Niestety żaden z nich nie zobaczył pałacu Królowej Baśni.

Obrazili się bardzo, napisali każdy po pięć bardzo grubych i bardzo mądrych ksiąg, w których udowodnili, że pałacu Królowej Baśni nigdy w tym mieście nie było.

Kto przeczytał mądre książki przyznawał im rację, aby nie być nazwanym głupim.

Tylko jeden człowiek w całym mieście, który także przeczytał pięć mądrych ksiąg, nie wierzył w nie ani trochu. Nie mówił o tym nikomu, bo nikt by go nie rozumiał.

Dziwnym był bardzo. Odmienny od wszystkich.

Koledzy jego po ukończeniu szkół mieli dobrze płatne stanowiska i wygodne życie.

On także uczył się pilnie, nie chciał zostać ani krawcem, ani nawet doktorem, tylko prawdziwym poetą.

Lubił się uczyć tego, za co nikt nie płaci.

Uczył się szmeru strumieni, szumu wiatru. Pisał przepiękne wiersze o pałacu Królowej Baśni.

Niestety żaden wydawca nie chciał ich drukować. Poeta nie miał pieniędzy i cierpiał nędzę. Rzadko kiedy był syty i zimą trząsł się z zimna, głodu i wyczerpania. Zachorował i samotny w swej izdebce piwnicznej, dogorywał.

Nie miał mu kto podać szklanki wody. Leżał na brudnym łóżku i spoglądał w malutkie okienko, za którym przebiegali ludzie.

Na trzeci dzień choroby bardzo już wycieńczony, spoglądał w okienko, oczekując południowych gości — jasnych promieni słonecznych. Nadeszła wreszcie południowa godzina. Obwieścił ją miastu wdzięczny ton hejnału. W ślad za nim do ciemnej izdebki wpadły złote i wesołe promienie słońca.

Poeta ze zdziwieniem spoglądał na blaski, które zamiast zniknąć zaraz jak zwykle, rosły, gromadziły się i przemieniały pokój w zaczarowaną komnatę. Po kątach, zamiast kurzu i pajęczyn, zwisały kwiaty i dywany.

Poeta czekał, co dalej nastąpi...

Niedługo przez maleńkie okienko wsunęła się do wnętrza sutereny ciemnobarwna tęcza. Rozprzestrzeniła się po nim pląsającym łukiem, napełniając radością serce i oczy chorego poety.

Za chwilę na tych barwnych promieniach tęczy zawisnął znany mu pałac Królowej Baśni.

W nim siedziała Królowa, cudna, ciemnowłosa w jasnej szacie i bardzo, bardzo smutna.

Złotowłose elfy nie pląsały, srebrne pająki nie grały na siatkach, tylko szeptały coś skupione gromadką w kąciku.

Za chwilę dwa najmniejsze spośród elfów wysunęły się z gromadki. Podbiegły do Królowej. Kłaniając się niziuteńko szepnęły jej jakąś prośbę. Królowa uśmiechnęła się i skinęła przyzwalająco główką.

Elfy wysunęły się przez niewidzialne drzwiczki i na przeźroczystych skrzydełkach przyfrunęły przed łóżko chorego poety.

Drgnęły przed nim wdzięcznie i głosikami milszymi niźli szmer leśnych konwalii odezwały się w te słowa:

— Pokłon ci oddajemy Rycerzu Królowej Baśni i przynosimy zaproszenie do jej pałacu. Nasza Pani tęskni za tobą.

Zadziwił się poeta na te słowa, ale zaraz zasmucił.

Jakże wejdzie do pałacu taki duży, brudny i chory.

Elfy zrozumiały jego myśli, bo jeden podsunął mu maleńkie zwierciadło przed oczy. Poeta zobaczył się przemieniony. Maleńkim jak elfy, pięknym i strojnym jak królewicz z bajki i poczuł się zdrowym.

Wyskoczył z brudnego łóżka i przez niewidzialne drzwiczki wszedł za elfami do pałacu.

Królowa uśmiechnęła się do niego. Powstała z różanego tronu, podała mu rączkę. Przyklęknął na kolano, ucałował bielutką rączkę Królowej, potem poprosił ją do tańca.

Hej! jak pięknie im grały srebrne pająki, jak pięknie śpiewały złotowłose elfy i jak pięknie oni tańczyli! Nikt tego nie opisze ani nie opowie.

A potem Królowa zabrała go wraz z swoim pałacem do Królestwa Baśni.

Żyje tam dotąd jako jej ukochany rycerz i jest bardzo szczęśliwy.

Tymczasem w ponurej piwnicznej izdebce leżały zimne zwłoki poety. Ludzie dziwili się jego uśmiechniętej twarzy. Nie wiedzieli przecież o niczym.

Dopiero po pogrzebie znaleziono przepiękne wiersze o pałacu Królowej Baśni.

Kto przeczytał je, ten śmiał się i płakał ze wzruszenia.

Znalazł się wydawca. Wydrukował. Poeta stał się sławnym.

Postawiono mu marmurowy pomnik w największym parku miasta.

Zawsze tam koło niego bawią się dzieci.

I to jest największa nagroda biednego poety.

FATALNA FIGURKA

AUTENTYCZNA OPOWIEŚĆ PODSŁUCHANA W TRAMWAJU

Włóczyłam się dawniej wiele po świecie i nazwoziłam sobie moc rozmaitych drobiazgów z każdej miejscowości, w której się zatrzymywałam.

Między innymi przywiozłam bardzo ładnie odrobioną, porcelanową, rosentalowską figurkę, przedstawiającą „Boginię zemsty".

Wyjeżdżając na urlop, wyniosłam z mieszkania na czwartym piętrze rozmaite rzeczy, wraz z nimi powędrowała do piwnicy również moja „bogini".

Kiedy po kilku tygodniach zbierałam moje manatki z piwnicy, ku miłemu zdziwieniu znalazłam figurkę, o której zdążyłam zapomnieć.

Przypuszczałam nawet, że w zamieszeniu albo zagubiłam ją, albo też rozbiłam.

Podniosłam ją, z należną bogini, czcią z ziemi i z prawdziwą radością, postawiłam ją na swojej toaletce.

Kiedy ją kupowałam, sprzedawca, śmiejąc się, powiedział mi, że „bogini zemsty" przynosi nieszczęście. Oczywiście śmieliśmy się razem i figurka powędrowała do mojej torebki i szczęśliwie odbyła wraz ze mną podróż morską, bez żadnych następstw, które by usprawiedliwiały nieczną plotkę.

Zauważyłam jednak wkrótce, że w każdej plotce znajduje się część prawdy, bo od chwili kiedy „bogini" zajęła poczesne miejsce na mojej toalecie, dziwnie jakoś mi się nie wiodło. Troski i zmartwienia, bądź natury ogólnej jak i osobiście tyczące się mojej osoby, trapiły mnie bezustannie.

Wspomniałam o tym w biurze, w którym pracowałam.

Wyśmiano mnie. I jedna z koleżanek zaproponowała mi, żebym jej podarowała tę „fatalną figurkę".

Chętnie się jej pozbyłam, przyznaję ze wstydem.

Ale już po trzech dniach koleżanka moja odniosła mi figurkę, zalana łzami, bo właśnie otrzymała list od narzeczonego, z którym była zaręczona trzy lata, a teraz zwrócił jej słowo.

Biedactwo! Figurce przypisała swoje nieszczęście, dodając jeszcze, że przez te trzy dni miała moc rozmaitych przykrości, niezbyt ważnych, ale to co ją spotkało obecnie, dopełniło reszty.

Cóż było robić? Wzięłam z jej rąk figurkę i zamierzałam schować ją do torebki, kiedy szef, który słyszał całą rozmowę, zainteresował się tą sprawą.

— Niech mi pani da tę „fatalną figurkę" — powiedział z ironią. — Ja nie mam narzeczonej, więc nie obawiam się, że ze mną zerwie. I zabrał ją do gabinetu.

I znów „bogini" zajęła miejsce na biurku szefa, dumnie spoglądając wokoło.

Po kilku dniach, kiedy pierwsza zjawiłam się w biurze i po chwili wszedł szef, nie zdejmując płaszcza powiedział do mnie:

— Panno Wando, niech się pani śmieje ze mnie, ale doprawdy od chwili kiedy pani „bogini" stanęła u mnie na biurku, nic mi się nie udaje, żaden interes. Co, u licha, jeśli tak dalej pójdzie, zbankrutujemy i wszyscy znajdziemy się bez posad.

Niby się śmiał, ale zauważyłam, że rad był kiedy mu zabrałam moją nieszczęsną figurkę.

Wracałam z biura w dziwnym nastroju. Obejrzałam się czy kto nie widzi i już sięgnęłam po figurkę, żeby ją rzucić, niby niechcący, na chodnik, kiedy zauważyłam duży szyld komisowego sklepu.

Nie namyślając się długo, weszłam do sklepu i podając figurkę właścicielowi, poprosiłam, żeby mi ją ocenił.

— Hm — powiedział — oczywiście nie jest to rzecz antyczna, wartościowa, ale bardzo ładnie odrobiona w porcelanie. Cóż, jakieś 25 zł (wtedy była to niezła suma) warta jest.

— Może mi ją pan przyjmie w komis? Dobre i 25 zł. Przynajmniej będę miała na fryzjera. Ale muszę pana uprzedzić, że figurka przynosi nieszczęście. — Tu opowiedziałam mu uczciwie dzieje mojej „bogini".

— No, dobrze, — powiedział sprzedawca, śmiejąc się. — Wezmę ją i o ile nie zbankrutuję przez nią albo mi się nie spali sklep do jutra, proszę się jutro zgłosić.

Podałam mu adres swój i numer telefonu i poszłam do domu.

Podczas naszej rozmowy jegomość jakiś kręcił się po sklepie i przeglądał rozmaite drobiazgi, wystawione na sprzedaż.

Nazajutrz, kiedy ubierałam się, śpiesząc do biura, zadzwonił telefon.

Acha, na pewno jakieś nieszczęście przytrafiło się właścicielowi sklepu komisowego.

Istotnie był to telefon ze sklepu.

— Figurka sprzedana, może się pani pofatygue po odbiór pieniędzy.

Wracając z biura wstąpiłam do sklepu.

— Czy być może! Tak szybko ją pan sprzedał? Ale czy pan uprzedził kupującego jakie złośliwe właściwości posiada bogini?

— Nie potrzebowałem opowiadać, bo ten kto ją kupił, był podczas pani bytności w sklepie i słyszał co pani o niej mówiła. Ale nie przeraziło go to wcale.

— „Zaraz idę na pocztę i wysyłam ją swojej teściowej" — zakomunikował mi i uradowany zapłacił żądaną sumę.

Ale historii jeszcze nie koniec. Gdy przechodziłam w jakiś tydzień potem koło sklepu komisowego, stojący przed sklepem właściciel przeprosił mnie, że mnie zaczepia i powiedział:

— Wie pani, że zaczynam wierzyć w magiczną moc tej nieszczęsnej figurki, bo ten pan, który ją kupił, przyszedł mi specjalnie powiedzieć, bardzo zmartwiony, że odesłano mu z poczty figurkę z napisem: „Adresat nieznany"!

J. L.

MILCZĄCA PARA

Jan i Joasia byli małżonkami i jadali z jednej miski. Miska miała taką objętość, że obydwoje mogli się najeść. Byli jednak tak leniwi, że nie chciało im się nawet umyć miski. Wskutek tego skorupa zeschniętego jedzenia z każdym dniem była grubsza a objętość miski mniejsza. W końcu tak mało jedzenia zmieściło się w niej, że małżonkowie poczęli głodować. Żadne z nich nie chciało jednak umyć naczynia.

— Słuchaj — powiedział Jan zdecydowanie, aby zakończyć spór — pójdziemy teraz spać i kto z nas rano pierwsze słowo wypowie, ten musi miskę oczyścić.

— Doskonale — odpowiedziała Joasia i położyli się.

Następnego dnia nikt nie wstawał. Minął ranek, nadeszło południe, a oni jeszcze spali.

Gdy sąsiedzi zauważyli, że okna są zamknięte, zaniepokoili się i zgłosili to do sądu.

Na to przyszli jacyś panowie, wyłamali drzwi i znaleźli leniuchów pod kocem. Na próżno zwracali się do nich o wyjaśnienie. Małżonkowie milczeli zawzięcie, żadne z nich nawet się nie poruszyło. W końcu jeden z panów chwycił za koc chcąc go ściągnąć z łóżka. Wtedy krzyknęła Joasia:

— Nie ruszaj tego, co nie twoje!

A Jan, który dopiero teraz odzyskał mowę, zawołał wesoło:

— A zatem, ty musisz wymyć miskę, — i wyskoczył z łóżka.

Gdy to usłyszeli panowie, wyszli i tak się serdecznie śmiali, że się po schodach na dół tarzali i może tarzają się jeszcze...

A. G.

COMME ON FAIT SON LIT

Ralph Soupault, jeden z najtęższych francuskich karykaturzystów pokazuje nam w tym rysunku w pełnym świetle sytuację Anglików i Amerykanów, którzy kokietują bolszewizm. Podpis brzmi w przekładzie:

Demokracja: — Jakże to zabawne! Ścielę łóżko bolszewizmowi.

Stalin: — Ja też ścielę łóżko demokracji!



JAK KTO KOMU POŚCIELE TAK SIĘ TAMTEN WYŚPI.

ROZMAITOŚCI

W czasie ostatniej wojny światowej (1914—1918) dostał się do niewoli angielskiej pewien żołnierz niemiecki walczący na froncie zachodnim. Zawieziono go do Anglii i przydzielono jako robotnika rolnego pewnemu właścicielowi dóbr, mającemu posiadłość w pobliżu Manchesteru. Pewnego dnia otrzymał właściciel ziemski list od swego syna z Niemiec. W liście tym donosił syn, że dostał się w jednej z bitew do niewoli niemieckiej i pracuje jako robotnik rolny na jednym z folwarków wieśniaczych. Anglik przywołał wtedy do siebie pracującego u niego Niemca, i zapytał czy nie zna okolicy, w której pracuje jego syn. Jakże wielkie było zdumienie obu, gdy Niemiec usłyszawszy adres zawołał, że jest to dom i posiadłość jego ojca. Dziwnie się nieraz plecie los na tym świecie.

*

Księga adresowa liczy zaledwie 300 lat. Podczas gdy niektóre kraje jak np. Dania prowadziły księgi adresowe ale tylko swych najznakomitszych 10.000 obywateli, w innych państwach było najsurowiej wzbronione wymienianie imion i adresów arystokracji. Gdy w roku 1692 Mikołaj de Blégny wydał jedną z pierwszych i najbardziej znanych ksiąg adresowych w Paryżu i umieścił w niej różne adresy wybitnych osobistości, książkę tę skonfiskowano. Dopiero po upływie 50 lat zniesiono ten zakaz.

*

W połowie XVIII stulecia przywieziono z Kuby do Paryża wielkie chrabąszcze świecące fosforycznym światłem podobnie jak nasze robaczki świętojańskie. Gdy owady te wypuszczono na wolność, a one latając po ulicach Paryża rozsiewały wieczorem swe silne, zielonkawe światło — powstała panika wśród Paryżan, gdyż ludzie uważali to zjawisko, którego nie umieli sobie wytłumaczyć, za jakiś znak nadprzyrodzony.

*

Jednym z cudów świata starożytnego były wiszące ogrody legendarnej królowej asyryjskiej Semiramidy. Ogrody były urządzone na płaskich dachach domów pokrytych ziemią. Ogrody te na kształt teras wznosiły się ku pałacowi królowej. Trzynaście tysięcy ogrodników pokrywało urodzajną ziemią przez lat 10 dachy domów przeznaczonych na te ogrody. Ziemi zaś zużyto 14½ miliona ton.

*

W roku 1799 publiczność Hamburga w dość oryginalny sposób dała wyraz swemu niezadowoleniu z gry jednego z aktorów. Widzowie znajdujący się w teatrze nie wygwizdali go ale wyziewali.

ROZMOWA Z GORYLEM

W jesieni roku 1937 maszerowaliśmy z grupą strzelców massajskich przez dżunglę, która rozciąga się na zachód od Kilimandżaro. Przez te tereny prowadzi wielka autostrada Kapsztad—Durban—Kairo. Ku niej właśnie zdążaliśmy. Jeden z tragarzy, murzyn z okolic jeziora Viktoria opowiadał nam właśnie jak spotkał się tu przed kilku laty z rodziną goryli. W tym momencie przybiegł do nas przewodnik karawany szary na twarzy z przerażenia z okrzykiem: „Goryle! Goryle!"

W tej okolicy nie wolno strzelać dziś pod surowymi karami do tych człekokształtnych małp. Dlatego też zwróciliśmy się do jednego ze strzelców o radę. Ten nie wiedział również, czy może stosować prawo bronienia się w obliczu niebezpieczeństwa zagrażającego życiu, bo chociaż goryle były w pobliżu, jednak żaden z nich nas nie atakował. Cofnąć się również nie mogliśmy, gdyż ludzie byli zbyt zmęczeni, by im jeszcze w nieprzebytej dżungli naddawać drogi. Toteż gdy przybyliśmy wkrótce na obszerną polanę, dano rozkaz zdjąć ciężary i wypocząć. Dwóch ludzi wysłaliśmy na zwiady. W 10 minut później wiedzieliśmy już, że walki z gorylami nie unikniemy, gdyż w odległości 100 kroków na przeciwnym krańcu polany wyłoniła się brunatna głowa goryla i dwa błyszczące, złośliwe ślepia patrzyły w naszą stronę. Równocześnie usłyszeliśmy silne bębnienie. To goryl dawał hasło do walki bijąc się pięściami po piersiach. Chwyciliśmy za strzelby i gotowaliśmy się do walki. Wtedy podszedł do nas jeden z tragarzy, stary Massajczyk i prosił o pozwolenie mu na rozmowę z małpami.

— Panie — mówił stary murzyn — pozwólcie mi mówić z małpami. Ja rozumiem mowę zwierząt. Już nie pierwszy raz w życiu spotykam te małpy.

Zaczęliśmy się śmiać i pozwoliliśmy mu robić co chce.

— Gdy cię goryl rozszarpie, nie będziemy za to odpowiedzialni. Wszystkich obecnych bierzemy za świadków.

— Jesteśmy świadkami — zamruczeli pozostali murzyni.

Tragarz zdjął swe ubranie i wolno kroczył przez polanę. Gdy był już o jakie 20 kroków oddalony od przeciwległego krańca polany wynurzyła się postać goryla. Tym razem pokazywało zagniewane zwierzę zęby i gotowało się do opuszczenia gęstwiny. Murzyn podniósł ramiona do góry i wydał przeraźliwy okrzyk. I wtedy wydarzyło się coś niezwykłego. Małpa wyszła z krzaków i stanęła. Był to wspaniały okaz. Krzyknęła coś, co brzmiało jak: „Hye-Ma-Ma-Re". Obaj murzyn i goryl zaczęli teraz na przemian wydawać gardłowe dźwięki, co robiło wrażenie głośnej, ożywionej rozmowy wielu ludzi. Po minucie tej rozmowy wydał goryl podobny do gwizdu ton i zniknął w krzakach. Po kwadransie ruszyliśmy w dalszą drogę i nie spotkaliśmy już żadnej małpy. Zwierzęta zostawiły nam wolną drogę.

KOTEK

Dokończenie ze str. 8

— Pan mi nie ma nic do rozkazywania . . . Tak! . . . tak . . .

Zabrzmiały ostre szarpnięcia dzwonka sygnałowego. Hamulce zaskrzypiały. Powoli ucichł turkot kół. W międzyczasie kłótnia na platformie przybrała dramatyczny punkt napięcia.

— Panie, jak pan śmie wóz zatrzymywać! — pienił się konduktor. — To jest stawianie przeszkód w ruchu ulicznym. Pan jest wykluczony z dalszej jazdy. Proszę opuścić przedział!

— Ja? Ja mam opuścić przedział?

— Tak jest! Proszę się nie opierać! Zaraz pan wysiądzie!

— Precz ode mnie z rękami! Na co pan sobie pozwala, parobku!

Palec wskazujący konduktora zatańczył przed nosem Impregnowanego:

— Zrobię na pana doniesienie za przeszkadzanie w czynnościach urzędowych i znieważenie urzędnika w służbie. Wywieje panu z głowy zarozumiałość! Nadęty laluś!

— Niech się pan do mnie nie zbliża, panie konduktor, bo zapomnę się i . . . i . . .

— Co mnie pan szarpie za guzik? Pan podnosi rękę na uniform urzędowy? Precz stąd!

Nagle zjawił się na platformie policjant. Jego zjawienie się podziałało na wzburzonych jak wylanie oliwy na burzliwe fale.

— Spokój! Co tu się dzieje?

— Panie przodowniku, ten pan pociągnął za linkę sygnałową i nazwał mnie parobkiem.

— Ten mnie za to nazwał nadętym lalusiem. Żądam wylegitymowania go.

— Tylko bez nerwów, panowie! Spokojnie! Jak doszło do kłótni?

Popielicowa dama, nieco wyprowadzona z zwyczajnej godności, w oklapniętym kapeluszu i wymykającymi się niesfornie kosmykami włosów spod kunsztownej fryzury, z trudem wydobywa z siebie głos:

— Tam na lince jest przywiązany kot. Biedactwo musi biec za tramwajem.

— Tak jest.— wystękuje Impregnowany — konduktor nie pozwala wziąć zwierzątka do wozu.

— Żądam ukarania go — płaczliwie dodaje Popielicowa, całkiem wytrącona z swojej roli. — Jestem Otylia Paskowska . . .

— Jej mąż ma odpowiedzialne stanowisko w branży żywnościowej — objaśnia Przemoczony — on musi uważać, aby psy nie wyjadły kiełbasy spod lady.

— Zamknij pan jadaczkę! Panie konduktorze, co przewidują przepisy ruchu w tej sprawie?

— Zabieranie kotów do przedziału jest zabronione, a to z powodu możliwości zanieczyszczenia wozu.

— No tak! W tym wypadku możemy na naszą odpowiedzialność przepisy ruchu trochę nagiąć. Grunt, moi panowie, abyśmy nie stracili dobrego humoru. Każdy z nas musi trochę poskromić swój język. Pan powiedział do konduktora „parobek", konduktor nazwał pana „nadęty laluś". To się wyrównuje, chociaż bardziej mi odpowiada parobek. Co się tyczy tamtej sprawy, niech pan, panie konduktorze, zrobi miejsce siedzące temu chłopcu. Kota weźmie sobie na kolana, a gdyby mu się przydarzyło coś ludzkiego, może opowiedzieć swojej mamie, że to on sam . . . No, jest jeszcze ktoś niezałatwiony?

— Nie — uśmiechnął się konduktor — wszystko w porządku, panie przodowniku!

— Dziękuję panu bardzo — wyjąkała Popielicowa. — No, chłopcze, możesz teraz wprowadzić swojego kotka do przedziału.

Impregnowany powiódł triumfującym spojrzeniem po całym otoczeniu:

— Teraz nie musi małe stworzenie męczyć się tam po nocy, w deszczu i wichrze.

— Och, to mu nie zaszkodzi — odpowiada chłopiec.

— Jak to? Taka pogoda mu nie zaszkodzi?

— Nie. Bo on jest z pluszu, a na nóżkach ma kółka.

Tłum. J. P.

KĄCIK SZACHOWY NR 26

CZĘŚĆ ELEMENTARNA

OBRONA ŁOTEWSKA

Ciąg dalszy.

Wariant IV, obrona C, subwariant a.

1. e2—e4 e7—e5	7. Hh5—e5+ Gf8—e7
2. Sg1—f3 f7—f5	8. Sg6×e7 Hd8×e7
3. Gf1—c4[1]) f5×e4![2])	9. He5×e7 He8×e7
4. Sf3×e5[3]) d7—d5![4])	10. Gc4—e2 Wh8—g8
5. Hd1—h5+ g7—g6	11. g2—g3 Sb8—c6
6. Se5×g6 Sg8—f6	

[1]) Ten sposób gry uchodził przez dłuższy czas za najlepszy i najpewniejszy dla białych, dopiero w nowszych czasach została zdyskredytowaną jego poprawność.

[2]) Jest to jedyna właściwa odpowiedź czarnych na 3. G—c4?

[3]) Słabym byłoby 3... S—f6? 4. S×e5! H—e7 5. S—f7 H×e4+ 7. K—f1 d5 8. G—d3 H—e7 9. S×h8+ Bilguer VIII. wyd. (obr. A, subw. a). 3... S—f6? 4. S×e5! H—e7 5. S—f7 S—e6 6. G×f7+ K—d8 7. 0—0 S×e5 8. d×e5+ (obr. A. subw. a). **3... S—f6? 4. S×e5 H—e7 5. d4 d6 6. S—f7 d5** 7. S×h8 d×e4 8. e5 S—e4 (8... g6 9. G—g5+). 9. H—h5+ g6 10. S×g6 h×g6 11. H×g6+ H—f7 (11... K—d7 12. H×f5+ poczem H×f4+; 11... K—d8 12. f3+) 12. H×f7+ K×f7 13. 13+ Bilguer VIII. wyd. (obr. B. subw. b).

3... S—f6? 4. S×e5! H—e7 5. d4 d6 6. S—f7 W—g8 7. S—c3! c6 8. c5 d5 9. S—d6+ K—d8 10. S×c8 K×c8 11. G—e2 Bilguer VIII. wyd. (warj. IV., obr. A, subwarj. c1).

3... S—f6? 4. S×e5! H—e7 5. d4 d6 6. S—f7 W—g8 7. S—c3! S×e4 8. S×e4 H×e4+ 9. H—e2 H×e2 (d5? 10. G×d5!) 10. K×e2 z groźbą S×d6+ (warj. IV., obr. A, subwarj. c2).

3... S—f6? 4. S×e5! H—e7 5. d4 d6 6. S—f7 W—g8 7. S—c3! f×e4 8. S—d5 S×d5 9. G×d5+ (warj. IV, obr. A, subw. c3).

3... S—f6? 4. S×e5! H—e7 5. d4 d6 6. S—f7 W—g8 7. S—c3! 8. S×d5 H×e4+ 9. H—e2 H×e2 10. K×e2 K×f7 11. S×f6+ itd. (warj. IV, obr. A, subwarj. c4).

3... S—f6? 4. S×e5! H—e7 5. d4 d6 6. S—f7 W—g8 7. S—c3! c6 8. c5 d×e5 9. S×e5 W—h8 10. 0—0 poczem W—e1+ (warj. IV., obr. A, subw. c5).

3... S—f6? 4. S×e5! H—e7 5. d4 d6 6. S—f7 W—g8 7. S—c3! c6 8. e5 d5 9. S—d6+ K—d8 10. G—e2 S—e4 11. S×e4 f×e4 12. G—g4!+ (warj. IV., obr. A, subw. c6).

Słabą jest też obrona 3... S—c6? 4. d4! d6! 5. d×e5 f×e4 6. H—d5 H—e7 7. G—g5 G—e6 8. H×e4 d5 9. G×d5 G×d5 10. H×d5 S—f6 (i teraz białe powinny grać (najlepiej) 11. H—b5! chociaż i po:) 11. G×f6 g×f6 12. 0—0 f×e5 13. S—c3 H—d6 14. S—b5 H×d5 15. S×e7+ K—d7 16. S×d5 G—d6 pozycja białych słniejszych o 2 piony nie wykazuje słabszych punktów (Riviere-Anderssen) (Suhle, podr.).

[4]) **Bilguer (VIII. wyd.) podaje jako lepsze: 4. G×g8** W×g8 5. S×e5 H—g5 6. S—g4 d5 7. h3. Należałoby zbadać wartość tego sposobu gry, celem sprecyzowania oceny wartości subwariantu a.

(Po 7... h5 może nastąpić 8. d4!). Jak się okazuje często teoria co do wielu zagadnień teoretycznych jeszcze się nie wypowiedziała.

CZĘŚĆ OGÓLNA

Problem Nr. 12

Th. Gerbec (DSchtzg 1939)

Czarne: Kf5, Gg7, Gh1, Se1, piony: b7, c6, e5, d3, f6 (9).
Białe: Kg3, Hd6, Ge8, Se6, Sf7 (5).

3-chodówka 5+9 = 14.

Rozwiązanie studium Nr. 11 (Herbstmann):

1. G—f6+ K—c8! 2. G×g6 G—e4+ 3. K—b6! G×h1 4. G×f5+ K—b8 5. G—c5+ K—a8 6. G—g3! S—g2 (—f3) 7. G—e4+.

Partia Nr 43

Białe: Brinckmann — Czarne: Hönlinger

t. m. Budapeszt 1929

Caro Kann

1. e4 c6	13. G×g6 h×g6
2. d4 d5	14. G—g5! S×e5
3. S—c3 d×e4	15. H—e2 S—d7
4. S×e4 G—f5	16. S—e4 S—b8
5. S—g3 G—g6	17. G×e7 K×e7
6. f4 e6	18. W×f7+ K—e8
7. S—f3 G—d6	19. S—g5 W—d6
8. G—d3 Sb—d7	20. W×7 H—d8
9. 0—0 S—e7!	21. S×e6 H—e8
10. S—e5 G×e5	22. S×g7+ K—f8
11. f×e5 H—b6	23. H—e7+
12. K—h1 W—d8	Czarne poddały się.

PARTIA Nr. 44

Białe: H. Weenink — Czarne: Dr M. Euwe

t. Amsterdam 1933.

Pionem hetmana.

1. d2—d4 Sg8—f6	15. Se4—g5 Wh8—g8[5])
2. Sb1—c3[1]) d7—d5	16. Sg5×f7 Wd8—d7
3. Gc1—g5 Gc8—f5	17. Hf3—e2! e6—c5[6])
4. e2—e3[2]) Sb8—d7	18. Sf7—e5 Wd7×d4[7])
5. Gf1—d3 Gf5×d3	19. Wa1—d1! Wd4×d1[8])
6. Hd1×d3 e7—e6	20. Wf1×d1 Gf8—e7
7. Sg1—f3 c7—c6	21. a4—a5! Hb6×b2[9])
8. e2—e4 d5×e4	22. Se5—e6! Hb2—f6
9. Sc3×e4 Hd8—b6[3])	23. Se6×a7+[10]) Kc8—b8
10. Gg5×f6 g7×f6	24. Wd1—b1 c6—c5
11. 0—0 0—0—0	25. He2—b5 b7—b6
12. a2—a4 Sd7—e5	26. Hb5—d7 czarne poddały się.
13. Hd3—e2 Se5×f3+	
14. He2×f3 f6—f5[4])	

UWAGI:

[1]) W tym otwarciu miał upodobanie mistrz węgierski J. Breyer. Mistrz niemiecki K. Richter też nieraz je stosuje.

[2]) Utartą drogą rozwoju jest zwykle 4. f3 i 5. e4.

[3]) 9... G—e7 było najsilniejszą obroną.

[4]) Zbyt ryzykownym byłoby 14... H×d4 z powodu 15. Wa—d1 poczem 16. W×d8+ i 17. W—d1.

[5]) Bezpieczniejszą grę dawało 15... H—c7.

[6]) Czarne mogły teraz sforsować remis: 17... H×d4 18. H×e6 W×g2+ 19. K×g2 H—g4+ z wiecznym szachem.

[7]) 18... Wd—g7 dawało trochę kontrszans.

[8]) 19... W—e4 20. H—h5! 19... G—d6 20. S—c4; 19... G—e7 20. W×d4 c×d4 21. H—c4+ K—d8 22. W—d1. Najlepszą może obroną było: 19... G—g7, co by krępowało swobodę białego H.

[9]) 21... H×a5? 22. S—c6. wygrywałoby.

[10]) 23. H—d3 wygrywało od razu, gdyż czarne byłyby zmuszone grać 23... W—d8 celem uchronienia mata.

PARTIA Nr. 45

Białe: Black — Czarne: Cook

t. Hastings 1931/32.

Gra 2 skoczków w obronie.

1. e2—e4 e7—e5	12. Sc3×b5 Gc8—a6
2. Sg1—f3 Sb8—c6	13. a2—a4 Ga6×b5
3. Gf1—c4 Sg8—f6	14. a4×b5 Ke6—d6
4. Sf3—g5 d7—d5	15. c2—c3 Sd5—f6
5. e4×d5 Sf6×d5?	16. He4—f3 Sb4—d5
6. Sg5×f7 Ke8×f7	17. Wa1—a6+ Kd6—e7
7. Hd1—f3+ Kf7—e6	18. Wf1—e1 e5—e4
8. Sb1—c3 Sd5—b4	19. We1×e4 Sf6×e4
9. 0—0 c7—c6	20. Hf3×e4+ Ke7—d7
10. Hf3—e4 b7—b5	21. He4×d5+ Kd7—e8
11. Gc4—b3 c6—c5	22. Hd5—f7 mat.

PARTIA Nr. 46

Białe: Hopkins — Czarne: N.N.

t. Hastings 1931/2

Partia szkocka.

1. e2—e4 e7—e5	6. Gc1—g5 Gf8—g7
2. Sg1—f3 Sb8—c6	7. Sc3—d5 Gg7×d4
3. d2—d4 e5×d4	8. Hd1×d4 Sc6×d4
4. Sf3×d4 Sg8—e7	9. Sd5—f6+ Ke8—f8
5. Sb1—c3 g7—g6?	10. Gg5—h6 mat.

PARTIA Nr. 47

Białe: Mieses — Czarne: N.N.

Liverpool 1900.

Wiedeńska.

1. e2—e4 e7—e5	8. Sf3—g5 h7—h6
2. Sb1—c3 Sg8—f6	9. h2—h4 Sd6—e8
3. Gf1—c4 Sf6×e4	10. Sc3—d5! Se8—f6
4. Hd1—h5 Se4—d6	11. Hh5—g6 czarne poddały się! jeśli 11... f×g6 to 12. S—e7+ K—h8 13. S—g6 mat.
5. Gc4—b3 Gf8—e7	
6. d2—d3 0—0	
7. Sg1—f3 Sb8—c6	

MAŁA ENCYKLOPEDIA

Mydło. *Wynalazek wielki:*
pierze się nim brudne ścierki.
Lecz zamałe to korzyści
bo z opinii plam nie czyści.

Niemowlę ·*paniom się zdarza.*
Patrz też „skarb“ albo „zaraza“.

Ojciec. *Ojciec to ktoś, kto być musi.*
Może być mąż twej mamusi.

Pieniądz. *Forsa, względnie flota.*
Dziś przeważnie ma hołota.

Rogacz *to nie każdy wie:*
cztery nogi ma, lub dwie . . .

Skarb. *Najczęściej: „ta“, lub „ten“.*
A poza tym patrz pod en.

Tył *to przodu przeciwieństwo.*
A w zdrobniały biją często.

Urzędnik *Cóż mówić? Wolę*
wysłać was do słowa „golec“.
Ten by się z zegarem nadał:
musi iść — chociaż nie jada . . .

Uszy. *W barszczu — rzeczą smaczną.*
A pod drzwiami — to łajdactwo.

Wino. *Leży w sferze wspomnień . . .*
Może kiedyś wróci do mnie.

Ząb. *Wyjaśniam dla ścisłości:*
Jest ząb czasu . . . lub ząb z kości,
z tych — swój własny albo trupi,
który u dentysty kupi.
Kogo zaś ząb czasu uszczknie,
ten mieć musi zęby sztuczne.

Żona *jak śmierć i sztuka na raz . . .*
Każdy to ma, co se znalazł!
lecz łatwiej dąb nożem ściąć
niż przejrzeć to, co masz wziąć.

Krysta Opalińska

MIMOZOM

((Na marginesie wiersza „Miłość Krasnoludka“ w nr 41 IKP).

Są serca chore na miłość
blade serduszka dziewczęce,
tracące oddech, gdy ujrzą
pęki rozkwitłych róż,
rozdygotane na amen,
gdy słońce zalśni goręcej,
omdlewające, gdy siana
woń spływa słodka ze wzgórz.

Maleńkie serca nieznanych
zaczarowanych królewien.
Księżniczek śpiących za szybką
salonów, sklepów czy biur.
Kopciuszków, w których tkwi anioł,
anioł, o którym nikt nie wie,
mimoz marzących o deszczu
bez burz, błyskawic i chmur.

Czy księżyc jasność zieloną
po bzach pachnących rozsieje,
czy złoto ścieżek ośnieży
opadła z czeremch kwieć.
Strach, co się tam w nich wyczynia,
okropność, co się w nich dzieje,
jak strasznie tęsknią, jak roją,
a nie umieją chcieć.

Nadarmo chłopcy się do nich
śmieją, nadarmo uprzejmi
rzucają spojrzeń promienie,
nie szczędzą starań, ni słów,
jak ślimak w muszli się kulą
·bezsilnie w własnej anemii
od życia lecą w bezkrwistość
sentymentalnych snów.

Marzą błękitne migdały,
koszały różne i cudka,
w śnie lunatycznym w południe
jasne wędrują po świecie
i płaczą w tkliwych wierszykach
nad śmiercią, ach! krasnoludka,
zamiast żyć, kochać i począć,
i zdrowe wykarmiać dziecię.

PRZYCZYNEK DO ENCYKLOPEDII

Ach, ach, pozwól mi Krysto także: Wierszy ty sto napisz, ja z sześć... Chcę też być encyklopedystą.

ANIOŁ
Anioł — mówią mężczyźni. Panie psioczą na nią.
Musi coś gdzieś mieć, skoro chwalą ją i ganią.

BABA
Tułów, pod nim dwie nóżki, a na nich pończoszki,
gdzieniegdzie trochę pudru, lecz sensu ni troszki.

CZUŁOŚĆ
Nad pieskiem, że się przeżarł, lać łezki w salonie,
a nie widzieć, że cała wieś za oknem płonie.

D
Choć się nią poniewiera, miła to litera.
Czym dla mędrca leksykon, co jej nie zawiera?

EROS
takie sobie niewielkie, ale tęgie chłopię,
co pod świętymi nawet stale dołki kopie.

HEROS
(patrz: „Lew salonowy!“)

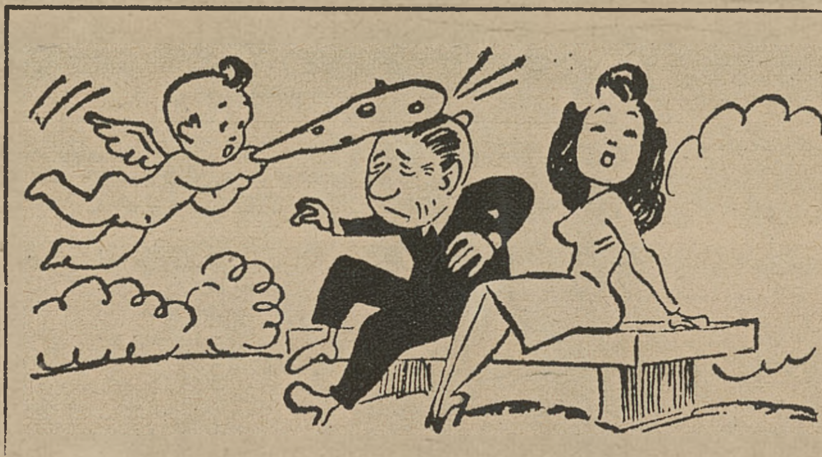
GĘŚ
Na półmisku podobno ma walory duże.
Niestety, częściej trafia się w literaturze.

Wujcio z Komina



— Wreszcie wygrałem panu proces o tych 75 zł!
— A ile panu mecenasowi należy się za to?
— 250 zł!

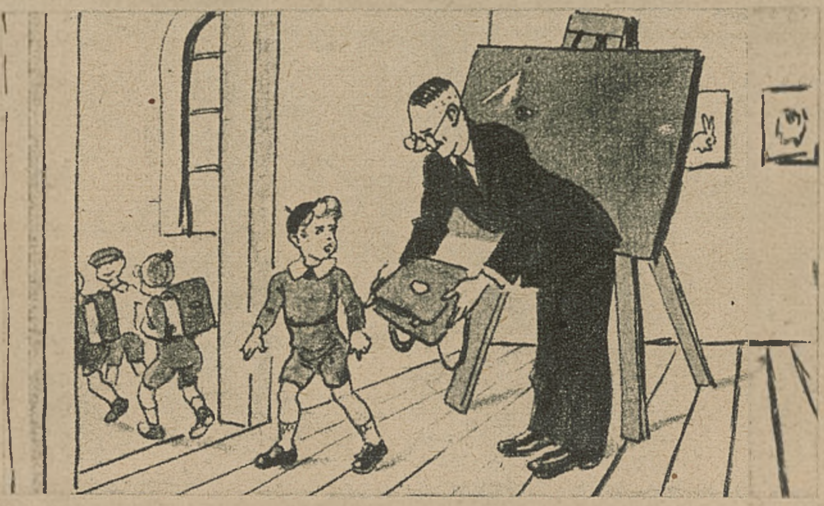
Rys: Empp — Kraków



JESIENIĄ W PARKU

Amorek: — Bardzo pana przepraszam, że uderzam drewnem, a to dlatego, że wczoraj zgubiłem łuk i strzały, a pan zbyt ospale zabiera się do rzeczy...

Die Woche



Po pierwszej lekcji: — Jasiu, dlaczego nie zabierasz ze sobą teczki z zeszytami?
— Może pan sobie zatrzymać, panie profesorze, ja i tak więcej tu nie przyjdę.

Das Illustrierte Blatt



— Czemuż nie żenisz się z Irką? Panna bogata, łagodna; a przy tym cóż możesz zarzucić jej przeszłości?
— Trochę za długa!

Rys. J. Paluch — Kraków

WESOŁE NAGROBKI

Czyżby nie było wesoło,
Gdyby tak w koło,
Na cmentarzu, na mogile,
Wesołych napisów było tyle?

— — — — — — — — — —

Przypuśćmy taki napis na nagrobku:

Literatowi:

Pisał dużo, jadał mało,
Nikt nie słuchał go, choć krzyczał.
Długów po nim nie zostało,
No, bo nikt mu nie pożyczał.

Zacnemu adwokatowi:

Pod tym kamieniem adwokat spoczywa,
Który nikomu nie uczynił szkody:
A nawet (co rzadko u prawników bywa)
Namawiał wszystkich zawsze do zgody.
Zostawił on wszystkich w bardzo wielkim żalu,
Albowiem umarł w ubogich szpitalu.

Nieszczęśliwemu mężowi:

Przechodniu, pod tą mogiłą
Spoczął człowiek zasłużony,
Już mu się wszystko sprzykrzyło,
A najwięcej — język żony.

Złemu mężowi:

Któż to ten głaz ogromny na grobie położył?
Żona, bo się obawia, aby mąż nie ożył.

Dla małżonków:

Tu leży on i ona — mąż i jego żona,
On jej, ona jemu, wystawiło jedno drugiemu
Ten nagrobek.

Rzeźnikowi:

Tu leży ciało rzeźnika złożone,
Który dobrze bił woły, jeszcze lepiej żonę.

Piekarzowi:

Pod tym kamieniem spoczywa piekarz,
Za małe chleby, — Boże go nie karz!

Krawcowi:

Tu leży krawiec — Józef Wylazło,
Co uszył — to się prędko rozlazło.

Ślusarzowi:

Położon jest w ten grób cichy
Ślusarz, co robił wytrychy.
Gorzkie łzy na grobie leje
Żona wierna i — złodzieje.

Majstrowi:

Tu leży dobry majster Michał Krupka,
Została z niego tylko prochu kupka.

Złodziejowi:

Tu złodziej kieszonkowy
Spoczywa Ambroży.
Już nikomu do kieszeni
Swej ręki nie włoży.

Topielcowi:

Tu spoczywa Jan Wrzeciono,
Który utonął w stawie i którego
Ciała nie znaleziono.

Pijakowi:

Tu leży pijak, co wciąż trąbił sznapsa,
Aż raz w pijanym stanie śmierć mu dała klaps

Leniuchowi:

Tu leży leniwca ciało
Co całe życie siedziało!
I od tego też tylko
Cała różnica zależy,
Że pierwej siedziało,
A teraz zaś leży.

Artyście:

Tu leży aktor, który na deskach grywał dumny,
Teraz też ma deski, ale deski trumny.

Nagrobek (dla mnie):

Kochany czytelniku! Tu leżą kości moje.
Jakże bym rad był, żeby to były twoje.

Ściągnął i przygotował do druku **St. Moskalewicz.**

MAGRYGAŁ

Za honorarium swe dziś rano
kupiłem sobie pełną zbroję,
srebrzystą, mało używaną
i tarcz, jak oczy modrą moje,
— tak Krysto!

Fiakier numer dziewiętnasty
przyrzekł w potrzebie dać mi zwierzę,
za czym za sławę cnej niewiasty,
jak dawni stanę w bój rycerze,
— tak Krysto!

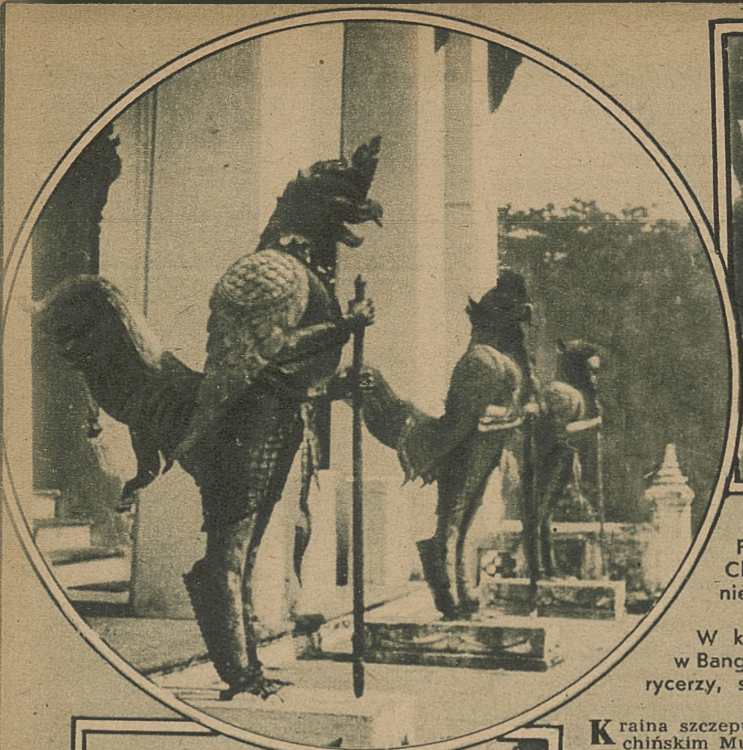
Ktokolwiek wierszy twych urodę
zgani, wnet skończy źle i kwita...
kopią go zaraz z konia zbodę
swej szkapie prosto pod kopyta,
— tak Krysto!

Krew zeń wytoczę rudo-złotą
i mieczem, który się nie wzruszy,
pysk mu skrajawszy na rzeszoto,
utnę hyclowi oba uszy,
— tak, Krysto!

Tak zrobię, choćby miał sto racji.
— Tym śpieszniej spławię go do czartów,
bo przez fakt naszej adoracji
wzajemnej.. tyś też świeczki warta
jest Krysto!

Wujcio z Komina

SYJAM







Powyżej: **CHIŃSCY PRZEKUPNIE W BANGKOK**
Charakterystyczny obrazek uliczny, spotykany na każdym niemal kroku w stolicy Syjamu.

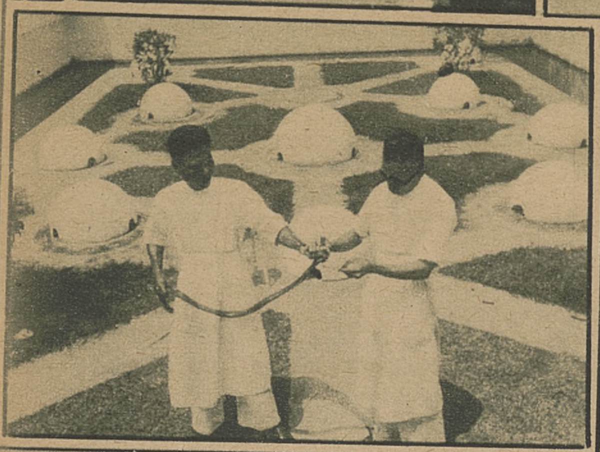
W kole: **NA TARASIE HALLU KRÓLEWSKIEGO PAŁACU** w Bangkok, niby „straż honorowa" wznoszą się postacie kogutów-rycerzy, symbole wyobrażeń baśniowych egzotycznego państwa.

Kraina szczepu Thaiów, inaczej Syjam, w narzeczu miejscowym i indochińskim Muang-Thai, to szmat lądu w dorzeczu Menamu na półwyspie Indochińskim. Obecny obszar kraju streszcza się w 619.000 km², z około 16,6 milionami mieszkańców. Urodzajna nadzwyczaj nizina rzeki Menam, o niewyczerpanych źródłach bogactw w postaci żyznych pól ryżowych i lasów, przechodzi ku wschodowi w jałową płaskowyżową równinę skalisto-piaszczystą, nawiedzaną często dusznym i gorącym, wysuszającym wszelką wilgoć wichrem Samum. Klimat Muang-Thaiu jest klimatem wybitnie tropikalnym, wykazującym w grudniu +23,8°, w kwietniu do +26,7° C i więcej. Letni, południowo-zachodni Monsum przynosi wielką ilość opadów, będących błogosławieństwem kraju, dobrodziejstwem dla jego flory i fauny. Na północy królują lasy tekowe, znakomitym budulcem okrętowym będące, południe stanowi domenę gąszczów mangowca, o owocach oleisto-terpentynowych, mających olbrzymie znaczenie w przemyśle przetwórczym. Głównym produktem ziemiopłodów jest naturalnie, jak wszędzie na dalekim Wschodzie, ryż, obok niego zbiera się w Syjamie i eksportuje orzechy kokosowe, pieprz, trzcinę cukrową, kukurydzę i bawełnę, starając się zaprowadzić w ostatnich latach na dużą metę kulturę tytoniu. Zwierzostan tropikalny reprezentuje słoń, nosorożec, tygrys, lampart i tapir, skóry których bardzo są poszukiwanym na rynku handlowym artykułem masowego zbytu i tworzą poważną pozycję w budżecie przychodowym Syjamu. Buddaizm jest religią panującą, obok 500.000 Mahometan — potężne wpływy wychowawcze spoczywają wciąż jeszcze w rękach buddyjskich klasztorów. Szkolnictwo w pojęciu europejskich metod nauczania rozpoczęło szerzyć się systematycznie dopiero od niedawna, zakładając wyższe uczelnie w stołecznym mieście Bangkok. Wiek XIX przynosi podział kraju na posiadłości francusko-angielskie. Rok 1932, to data początku narodowej odnowy Syjamu. Wiosną 1941 r., za sprawą Japonii, odzyskał częściowo Syjam swoje granice z francuskich Indo-Chin.

U góry:
NA WODACH DELTY RZEKI MENAM
Kanały rozlewowe ujścia rzeki Menam, tworzą naturalne arterie komunikacyjne „Wenecji Wschodu", łącząc stolicę kraju z jego wnętrzem.



Na lewo:
JEDNA Z OLBRZYMICH FIGUR, stojących na straży wejścia do pałacu królewskiego, osobliwych zewnętrzną formą jak dla naszych pojęć, biorących jednak wyraz z wierzeń i kultury indyjsko-malajskiej Syjamu.



Poniżej na lewo: **W WALCE Z TROPIKALNĄ PLAGĄ** jadowitych węży — oddaje stołeczny syjamski Instytut Pasteura nieocenione usługi w przygotowaniu serum i pełnieniu owocnej pracy dla zdrowotności kraju.



W RELIGIJNYM TAŃCU SYJAMSKIM
W takt bębnów, rytmicznie poruszają się tancerki świątyni syjamskiej, strojne w bogate obrzędowe szaty i nakrycia głowy przypominające żywo kształtem wieże pagody.

Fot: Eurofot.

Poniżej:
WIELKA PAGODA WAT-PO W BANGKOK
Kapiąca złotem i lśniąca bielą marmurów Wielka świątynia Buddy w Bangkok, wyraz przepychu i kunsztu budowlanego.

